A. NIEMOJEWSKI

Z POD PYŁU WIEKÓW II.

ASZUR·I·MUCUR



Z pod pyłu wieków.

II.

ASZUR I MUCUR

Książkę zdobił Jan Bukowski.

Drukarnia Narodowa w Krakowie.

Andrzej Niemojewski

Z pod pyłu wieków

II.

Aszur i Mucur

Warszawa 1906 - Nakładem Księgarni Powszechnej
Marszałkowska 139.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 9 Декабря 1904 г.



PIES FENICJI.

Fenicja, ogród kwiatów — niech Baal sprawi, by jej nie napadł Aszur i Mucur — drzemie rozkosznie nad Morzem Śródziemnem.

Brzegów jej strzeże stojący na skalnym cyplu Pies Kamienny. Przeto w Tyrze bezpieczny jest król Hiram i zażywają spokoju jego wojownicy. Sen klei także powieki mieszkańców Sydonu i wszystkich miast aż do Baal-Bek.

Jest noc gwieździsta. Kamienny Pies od czasu do czasu podnosi uszy. Ale na rozdali morskiej nie słychać miarowego plusku wioseł Mucura. Pies obraca uszy w stronę Libanu. Nie słychać miarowego stąpania tysiącznych nóg Aszura.

Pies uspokoił się. Ziewnął, przysiadł i łeb opuścił na wyciągnięte łapy.

Nudno mu. Więc znowu podnosi łeb i dla ukrócenia czasu obraca ślepia w niebo.

A tam, śród nocnych świateł modrego sklepienia, dzieją się całe historje.

Oto właśnie wchodzą z gorejącemi pochodniami czterej synowie Nasza, niosąc zwłoki ojca. Przed nimi sunie matka Waldana z najmłodszym synkiem u łona. Zwraca twarz posępną na nocne nieba obszary, rozgorzałym wzrokiem śledzi dale, żali się gdzie nie kryje Gedi, zabójca Nasza, którego zdradzi błyszcząca świetnie zbroja. Waldana szuka na nim pomsty. Co noc wychodzi na firmament, co noc puszcza wzrok po modrych przestrzeniach.

Kamienny Pies uniósł łeb w górę i ustawił uszy w dwa ostre kliny.

O, po drugiej stronie szafirowego sklepienia Gedi ukazał się rzeczywiście. Jak świetnie błyszczy jego zbroja! Ale Gedi jest ostrożny. Postrzegł cztery pochodnie, postrzegł posępną Waldanę, twarz jego zadrżała migotliwie jak zbroja. Nie stawi czoła czterem młodzieńcom. Już chce zawrócić. Ale występuje na niebo Suhel, którego hełm mieni się na modrej przestrzeni jak djament. Gedi ma w nim sprzymierzeńca. Już nie lęka się Waldany i jej synów.

Kamienny Pies skierował kliny swoich uszu w stronę, kędy świecił Gedi i Suhel.

Ale Suhel udaje tylko, że wspiera sojusznika przeciwko Waldanie i jej synom. Chciwe oczy jego patrzą w inną stronę. Tam w oddaleniu pała na niebie zagubiony siedmiogwiezdny dyadem Kimahu.

Nie on go zagubił. Tam oto stąpa już ten, który go szuka wieki całe, stąpa nieszczęsny Aldabaran a z nim siedm jego córek zapłakanych. Rozglądają się szlakiem stóp swoich i szukają, opuszczają głowy w dół i szukają. Nie widzą Kimahu! Widzi go Suhel a oni Suhela nie widzą. Suhel skrada się, wyciąga rękę, za chwilę ujmie łup żądną dłonią.

Kamienny Pies błysnął groźnie ślepiami i warknął.

Wark jego rozległ się daleko po morzu i po Libanie, aż w Tyrze król Hiram przewrócił się na łożu niespokojnie i tak samo przewrócili się na łożach jego wojownicy. A wszyscy mieszkańcy Sydonu coś jęli marmotać przez sen, tak samo mieszkańcy innych miast aż do Baal-Bek.

Kamienny Pies spostrzegł się, stulił uszy i łeb opuścił na łapy.

Ale nudno mu. Znowu podnosi ślepia i patrzy po niebie. W samym zenicie majaczeje Kesil, spętany gigant. Nogi i ręce rozkrzyżowane a dłonie i ręce przebite czterema gwiazdami. W poprzek olbrzymiego ciała mieni się trzygwiezdny łańcuch. Głowa młodzieńczego giganta przechyla się w dół. Twarz przejrzysta jak powietrze a znękana. W pięknych oczach omdlałość. Cierpi, cierpi wieki. Z posiniałych ust ulatuje westchnienie, które porusza eter jak wiew Zefiru.

Kamienny Pies czuje litość. Żal mu Kesila. Gigant skierował właśnie na niego znękane oczy swoje.

Pies przechyla łeb w lewo i patrzy. Poruszył się, oblizał. Teraz przechylił łeb w prawo i patrzy. Coraz bardziej ogarnia go żal. Chciałby skoczyć ze skalistego cypla w przestwory, łasić się u nóg męczonego olbrzyma, obwąchiwać gwiezdne gwoździe, lizać rany młodzieńca. Poczyna tedy skomleć żałośnie a skomlenie jego rozchodzi się daleko po morzu i po Libanie.

Drugi raz w Tyrze król Hiram poruszył się na swem łożu a nawet odemknął oczy i rozejrzał się dokoła. Tak samo odemknęli oczy i rozejrzeli się wszyscy jego wojownicy, tak samo mieszkańcy Sydonu i innych miast aż do Baal-Bek.

Kamienny Pies znów się postrzegł, przeto zamilkł, przykucnął i postanowił za nic nie patrzeć na Kesila.

Ale nudno mu, bardzo nudno. Łyska dokoła ślepiami, tylko po widnokręgach.

Właśnie w stronie wschodniej wypłynął na modrą przestrzeń Helel, przodownik Szamasza, słonecznego pana. Prześliczny młodzian o obliczu sępa, brodzie rurkowanej i mocno wypukłych piersiach. W źrenicach jego potęga a w całej postawie rozkaz. On spędzi Suhela, na jego skinienie ustąpić musi Gedi. Waldana z sunącym za nią orszakiem pogrzebowym zejdzie za widnokrąg. Oddali się także Aldabaran ze swojemi płaczkami. A Szamasz, słoneczny pan, przyjdzie zaćmić giganta Kesila i władzę swoją nad nim okazać. Wystąpi

w wachlarzu czerwieni, w potokach światła, król królów i bóg bogów.

Ale światła nocy nie lubią światła dnia, bo i spraw swoich jeszcze nie zakończyły a wieki minęły. Aldabaran nie znalazł Kimahu i przeto wdowie jest jego królestwo bezdyademowe. Waldana nie wywarła pomsty na Gedim, przeto synowie Nasza przystają ze zwłokami ojca i gniewnie patrzą w stronę Helela. Suhel nie zdążył pochwycić siedmiogwiezdnego djademu. Czegóż przeszkadza im Helel? Czemu tak nagli? Czemu spędza ich z drogi Szamasza? Czemu Szamasz pastwi się nad Kesilem?

I oto całe niebo zamigotało groźnie, aż Helel sięgnąć musiał do boku prawego po miecz obosieczny. On tu przodownik pana, on uprząta drogę świata na jego wejście i niczem są sprawy wszystkich wobec spraw Szamasza.

Kamienny Pies dźwignął się na łapy. Cały jest przejęty sprawą spraw. Pałające ślepia obrócił na Aldabarana, który spojrzał na niego pogardliwie. Kamienny Pies nastroszył sierść, ślepia skierował na Suhela. Ten pokazał mu kułak. Pies błysnął kłami, szczeknął krótko.

Szczek jego rozległ się daleko po morzu i odbił się echem od licznych załomów Libanu. Król Hiram w Tyrze aż siadł na łożu, przetarł oczy i chciał krzyknąć. Tak samo siedli na łożu i chcieli

krzyknąć wszyscy jego wojownicy a także wszyscy mieszkańcy Sydonu i innych miast aż po Baal-Bek.

Kamienny Pies uląkł się, opadł na łapy, cały się przytulił do skały i nie śmiał już pisnąć, bo czuł, że niepotrzebnie zaniepokoił króla, wojowników i mieszkańców wszystkich miast aż do Baal-Bek.

Nie patrzy wprawdzie, ale czuje doskonale, co się dzieje na niebie. Ustępuje Aldabaran razem z płaczkami, ustępuje Waldana i jej synowie. Gedi ustępuje i Suhel ustępuje. Helel ognistym mieczem spędza ich wszystkich. Kamienny Pies drży na całem ciele, każdy włos jego sierści ocieka potem. Ach, już blaknie przyćmiony rannem światłem Kesil. Już ukazuje się wachlarz czerwieni, już tryskają potoki światła, zaraz wypłynie Szamasz, pan słoneczny. Już bije przez eter ciepłe jego tchnienie. Promienie różnokolorowe falują śpiewem łagodnym. I morze w dole gra. Powietrze jest wonne, blask jest oślepiający, ciepło usypia, ranne zsyła marzenia i ranne sny.

Ach, usypia nareszcie wierny stróż Fenicji, usypia i śni młodość swoją i czasy, nim tu stanął na skalnym cyplu nadmorskim.

Kiedy swobodnie biegał po górach Libanu i miłości szukał. Szukał i znalazł. Gdzie to było? Kiedy to było? Cedry siały żywiczną woń a król Hiram mówił: »wypuścić przyszłego mego wiernego stróża, niech sobie pobiega po Libanie a znajdzie miłość swoją«. Tak mówił król Hiram. A wtedy

dwóch wojowników zdjęło mu obrożę i rzekło: »biegaj po Libanie, przyszły wierny stróżu naszego króla Hirama, który ci to pozwolił, abyś znalazł miłość swoją«. Biegł tedy, biegł najpierw w górę na Liban a potem z Libanu w dół, za wody Nar-el-Mot, które się zwą Wody Śmierci, za Bet-Rummana, co się zwie Dom Jabłek Granatowych, aż do Miszmisze, ślicznej pieczary, przed którą leżała słodka Bekfeja, o sierści złotej i zielonych ślepiach i nawet nie ruszyła się na jego spotkanie a udając, piękną głowę w bok odwracała.

Gdzież jest teraz śliczna pieczara Miszmisze, wspomnień pełna? Gdzież jest Bekfeja? Gdzież są te piękne dni upalne, kiedy biegał wolny, obowiązków nie znający, miłości godzien? Rzekł pewnego dnia król Hiram: »Już się pewnie ustatkował mój przyszły wierny stróż. Zdechł stary Radża; niech on tedy stanie na cyplu skalnym i strzeże Fenicji«. Tak powiedział król Hiram. A natychmiast wyszło dwóch jego wojowników na pierwszy i na drugi wał Libanowy i poczęli gwizdać. Gwizdali pół dnia. A wtedy gwizdanie pierwszego doszło do pięknej groty Miszmisze. Pod wieczór doszło drugie gwizdanie. Wtedy Bekfeja rzekła: »Nic trwać nie może wiecznie«. I rozstali się, rozstali na zawsze.

Jedno pozostało: sen. Minęły czasy, minęły wieki. A po każdej nocy czuwania na skalnym cyplu, kiedy na niebie rozpościera się czerwony wach-

larz Szamasza, kiedy powietrze śpiewa kolorami, kiedy z oblicza pana słonecznego pada potok ciepła, sen ten wraca, wraca i pieści wspomnieniem...

Ale cóż to? Jakiż to plusk miarowy rozlega się po rozdali morskiej? Jakież to wiosła biją modre wody? A może to stąpanie tysiącznych nóg Aszura?

Nie, Aszur obezwładniony leży w Niniwe. Czyżby to Mucur siadł na okręty i przepłynął przez modrą wełnę morza?

Kamienny Pies zerwał się na cztery łapy i zaczął gwałtownie ujadać.

Zadrgało całe powietrze Fenicji. Król Hiram w Tyrze zbudził się i skoczył z łoża na równe nogi. Tak samo skoczyli z łoża wszyscy wojownicy, oraz wszyscy mieszkańcy Sydonu i innych miast aż po Baal-Bek.

Ujadanie stawało się coraz głośniejszem, coraz wścieklejszem. Król Hiram chwycił miecz i począł nim dzwonić w tarczę.

Nadbiegali do jego zamku wszyscy wojownicy oraz mieszkańcy Tyru, Sydonu i innych miast aż po Baal-Bek.

Biegli mieszkańcy z Berot, Gazir i Aradus. Fenicja, ogród kwiatów, zaroiła się niby brzękiem pszczół i chmarami barwnych motyli.

A ujadanie nad morzem ciągle rosło.

Oto ukazały się trójwiosłowe okręty, zatoczyły ogromny krąg i ustawiły się w dwóch rzędach. Kamienny Pies wyje, miota się.

Ale już całe pobrzeże Fenicji zapełniło się wojownikami, których w wielkie a głębokie półkole ustawił król Hiram.

Tak stali naprzeciwko siebie: Mucur na morzu i Hiram na lądzie, a między nimi wył Pies Kamienny, wierny stróż Fenicji, niech Baal ma go w swej opiece!

Dał się słyszeć dźwięk tarczy królewskiej i cały Liban zawrzał okrzykiem gotowości.

Wtedy Kamienny Pies skoczył w odmęt morski. Wojska zaparły w sobie oddech.

I oto zapieniły się wody a zarazem jęły z okrętów świstać przez powietrze strzały. Furknęły koło uszu psa i plusnęły w wody. Potem wyleciały białe głazy pocisków, z warkiem biegły przez niebieskie powietrze i padły około łba, bluznąwszy wodą na wszystkie strony.

Kamienny Pies, dysząc i poszczekując, płynie dalej. Za chwilę znajdzie się już w pobliżu okrętu, na którym w otoczeniu swojem stoi sam Faraon. Za chwilę skoczy na pokład, sięgnie kłami do gardła Mucura.

Białe pociski padają z pluskiem dokoła potwornego łba. Morze kotłuje się. Faraon pobladł.

Wojsko Hirama wydało okrzyk radości. Ale przedwczesny ten okrzyk, przeto zaraz zamilknie.

Ustawili się na okrętach podwójnym rzędem włócznicy. Unieśli ręce, mierzą. Wypuścili chmurę włóczni.

Znowu zakotłowało się morze dokoła potwornego łba. Kamienny Pies nienaruszony. Pracuje coraz usilniej. Już znajduje się w pobliżu zanurzonych w wody morskie wioseł.

Powtórny okrzyk zawrzał u stóp Libanu śród wojsk Hirama. Ale przedwczesny ten okrzyk i zaraz zamilknie. A trzeciego okrzyku już nie będzie wcale.

Na miejsce włóczników wystąpili procarze Mucura. Włożyli kamienie w swe proce i zatoczyli niemi dwa razy łuki w powietrzu. Ale Faraon skinął i ręce im opadły.

Ujął osobiście ogromny swój łuk, sięgnął po strzałę z kołczana, przyłożył, napiął cięciwę i zmrużył prawe oko.

Ślepia Psa Kamiennego zaszły krwią. Urywane wycie dobywa się z jego gardzieli. Pracując potężnemi łapami dopływa już do królewskiego statku.

Na pobrzeżu Fenicji dech zamiera w piersiach wojowników a teraz król Hiram bardzo pobladł.

Mucur mierzy spokojnie i coraz lepiej mruży prawe oko.

W tej chwili Kamienny Pies dopłynął do pierwszego rzędu wioseł. Oparł na nie przednie łapy a potem zadnie łapy. Przez chwilę chwytał równowagę a następnie, odbiwszy się, skoczył w przestwór powietrzny.

Ale gdy przeleciał połowę drogi do pokładu, zgrzytnęła cięciwa Mucura, furknęła jego strzała,

bolesne skomlenie rozległo się w powietrzu i olbrzymie cielsko z pluskiem padło do wody.

Okrzyk tryumfu wzniósł się z wszystkich okrętów Mucura. Wrzawa przerażenia rozległa się u podnóża Libanu a wojska chciały pierzchnąć, że ledwie je powstrzymał blady jak płótno król Hiram.

Morze zabarwiło się czerwoną posoką. Kamienny Pies zanurzał się i wypływał. Ślepia jego zachodziły mgłą. Szum napełnił mu uszy. Zdawało mu się, że jakieś potężne statki z pluskiem wioseł przejechały nad nim w stronę brzegów, że odezwał się łoskot kusz, wichrowy poświst strzał i gromowy wark lecących włóczni, że potem zadźwięczały łańcuchy kotwic, że jakaś wrzawa bojowa, czy tryumfalna, obcemi gardły zaryczała. Potem przyszedł sen, jakiś dawny a ostatni, w tym śnie zaś Hiram, Fenicja, Bekfeja.....

A potem już nic.

Następnej nocy pusty był skalisty cypel a na firmamencie zbladła Mazzarot, gwiazda Fenicji, zwanej »Ogrodem kwiatów«.



TAMMUZ I ISTAR.

Bóg Tammuz umarł.

Kapłani Babilonu rozdarli szaty i posypali głowy popiołem. Płaczki otoczyły świątynię. Lud wylękły nadbiegł z pól, pokrytych winogradem, brzoskwinią i ryżem.

Wieść złowroga leciała niby szary tuman piasków, zasypując wszystkie ziemie, leżące wzdłuż rzek Babilonji. Dał się słyszeć jeden chór jęku:

— Tammuz umarł!

Co poczniesz, rolniku osłupiały? Dokąd obrócisz się matko, dzieciny na świat wydająca, gdy padają niewiadomym gromem zwalone ostoje, na których wszelka wiara się opierała?

Żali nawet bogowie umierają?

Słyszysz, Babilonie? A ty, Niniwo? Ach, słyszą, słyszą i oto kroczy wielki pochód pogrzebowy z głowami nakrytemi a na nakryciu popiół leży.

I oczy są jak popiół i oblicza są jak popiół i ręce, które niosą powiędłe wieńce anemonów i oleandrów, są jak popiół.

I myśli są jak popiół.

. . . .

Bo czemu umarł Tammuz?

Czemu poszedł do Aralu, ciemnej krainy bez powrotu?

Czemu udał się za mroczną rzekę Chubur, gdzie włada Nergal, bóg trądu, oraz bogini Allatu, węże w rękach dzierżąca?

Gdzie zgnilizna i trupia woń, gdzie wszystkie nędze, wszystkie niedole, dokąd nigdy nie zajrzy Marduk. Czemu tam poszedł Tammuz, bóg wiosny i winogradu, lotosu i ryżu?

. . . .

Tammuz umarł, bo tak chciał Ea, bóg mądrości. Chciał, aby Tammuz umarł i nie przeszkadzał mu w jego zamysłach.

Bo Tammuz był kochankiem Istary. Bo z wszystkich bogiń Istar była najpiękniejszą. Bo Istar kochała Tammuza wzajemną miłością.

Bo Ea także kochał Istarę a widział, że póki żyje Tammuz, wszelkie zabiegi jego będą daremne.

Więc pewnego poranka wyszedł przed Eritu, pałac swój, a skinął na Posła Śmierci.

Ten zbiegł do Aralu, umaczał rękę w wodach

rzeki Chubur a potem udał się do Tammuza i naznaczył jego czoło.

W godzinę potem zbladło oblicze Tammuza. W tej chwili wszelkie liście na drzewach poczęło więdnąć a wszelkie kwiecie żółknąć.

I jeszcze w godzinę potem oko Tammuza stało się szkliste, wszelkie kwiecie poczerniało a niebo jęło się chmurzyć i deszczami popłakiwać.

A w trzecią godzinę potem uleciało tchnienie z piersi Tammuza. A zarazem dźwignęły się wody rzeki Tygru i rzeki Frat, tocząc pianę.

Otoczony niewidzialnym orszakiem i sam niewidzialny odszedł Tammuz do krainy bez powrotu a Istar z posępnem jak noc obliczem zamknęła się we wschodniej części pałacu Eritu.

. . . .

Śród cyprysów i rododendronów stanął Ea i patrzy.

Ileż łagodności w jego wspaniałej twarzy! Ileż dobrotliwości świeci w jego wielkich oczach! Ileż wyrozumiałości rozwiesiła mądrość na jego czole?

Widzi w pałacu Istarę, która leży z obliczem w wezgłowie wtulonem.

Serce powiedziało mu: kocham ją. A zaraz potem rozum powiedział mu: rozdziel Istarę z Tammuzem.

Tammuz pójdzie do krainy Aralu, za rzekę Chubur, za siedm bram, w głąb siedmiu twierdz.

A w Eritu Istar, bogini miłości, pozostanie sama. Śród palm i tamarynd będzie chodziła szarpana swemi boskiemi żądzami.

Gdy nocą tęsknoty odemkną jej powieki, nie ujrzy około siebie Tammuza. Gdy pożądanie zapali w niej ognie żrące, nie będzie miała komu rąk na szyję zarzucić.

Siądzie na łożu samotna, obracając gorejące oczy na wszystkie strony. A w pobliżu będzie stał Ea, dobry, cierpliwy Ea.

Tak powiedziała mu mądrość. Ea usłuchał jej i oto stoi między rododendronami Eritu poglądając, kiedy wynik błogosławiony ucieszy jego źrenice.

. . . .

Ale Istar się nie poruszyła.

Czuła bliskość tego, który był mądrością, okrutną mądrością.

Który wierzył, że rozumem swoim odczyta ideogrammy tajemnic miłosnych.

On zgubi się w pierwszym klinie!

Tak — mylisz się, Ea!

Układaj losy miljonom polnych lilji i drugim miljonom ptaków niebieskich, ludziom i bogom, ziemi i firmamentom — ale nie ułożysz ani jednego losu miłości!

Bo miłość żadnych praw nie uznaje, ślepa będąc w swych postanowieniach. Na wszystko się targnie, wszystkiemu czoło stawi.

Idź, Ea! Ty nie zmożesz miłości!

Zgnębisz ją tylko. Ale tem gorzej dla ciebie. Nie zjednasz jej sobie.

Możesz ją zabić. Ale sam — co poczniesz wtedy?

Popatrz uważniej na Istarę. Ea, ty nie istniejesz dla niej!

Źle doradziła ci twoja mądrość. Istar kocha teraz wspomnienie Tammuza.

Cierpiałeś, gdy żył Tammuz. Ea, będziesz cierpiał dwanaściekroć więcej, gdy Tammuz umarł.

Ea, czyn twój był — bezrozumny!

. . . .

Żałosny uśmiech wypłynął na oblicze boga. Położył rękę na rurkowanej brodzie i zamyślił się.

Po chwili ruszył w stronę pałacu.

Stanął u łoża Istary, pochylił się nad nią. Następnie ujął w obie ręce śniade jej skronie i rzekł dobrotliwie:

— Czy wiesz, gdzie toczy się zdrój żywota?

Bogini lekko drgnęła, podniosła zdumione oczy, pomyślała chwilę i odparła wahającym się głosem:

— Wiem.

— Za zdrojem śmierci?

— Tak.

Ea spoważniał. Raz wtóry ujął się za rurkowaną brodę, podniósł brwi pytająco i rzekł:

— Podążyłabyś tam?

Istar dźwignęła się z posłania. Rysa postanowienia przecięła śniade jej czoło. Rzekła głosem stanowczym:

— Podążyłabym tam.

— A wiesz, co cię tam czeka?

— Wiem dokładnie.

— I zniosłabyś wszystko?

— Zniosłabym wszystko.

Czarne oczy boga zamigotały łzą. Potem westchnął i rzekł bardzo cicho:

— Tedy pozwalam ci, idź tam.

Istar padła do jego nóg, poczęła je obejmować i całować. A Ea stał nad nią nieporuszony, tylko oblicze w rękach ukrył.

Oto ona u stóp jego leży i całuje je. I oto wszystko jest, co osiągnął. Wszystko a więcej nigdy i nic.

Osiągnął wdzięczność, że zgodził się nie być kochanym.

Szepnął tedy w myślach:

— Mądrość to cierpienie.

. . . .

Istar dąży na Zachód, gdzie słońce zapada. Dąży, kędy jest zejście do krainy Aralu, państwa nieprzebłaganej śmierci. Gdzie noc, gdzie smutek, gdzie zgnilizna.

Już w górze niebo złożone z czarnych opok a w dole syczy białemi pianami rzeka Chubur.

Na tratwie stoi Namtar, wyschły, brunatny, starzec z siwą brodą a łysy, sługa bogini Allatu.

Fale sykają jak węże. Jadą. Długi ścieg pian wskazuje drogę przebytą.

Wieje zimny wiatr. Istar siedzi nieruchoma a ma twarz zaciętą.

Tratwa uderza o skalisty brzeg. Z ciemności wynurza się brama spiżowa.

Przed bramą stoi klucznik Szeol.

Istar rzuca sztukę złota Namtarowi a ten strąca ją wiosłem do wód i odpływa.

Wtedy Szeol uniósł do głowy Istary trupią rękę i zdarł jej koronę.

— Jak śmiesz, pachołku nocy, dotykać mej skroni i zdzierać z niej znak mojej władzy?

— Na nic ci teraz, córo światła, ta znikomostka bogów!

Zgrzytnęły spiżowe podwoje a otwierając się wydały śpiew podobny do wiatru pustyni.

Istar minęła bramę, która była pierwszą. I oto szła krajem ciemności, słysząc jedynie własne swoje kroki. Po godzinie stanęła przed bramą wtórą.

Tam czekał Nedu. Szkieletową dłonią zdarł jej z szyi naszyjnik.

— Jak śmiesz, trupie trupów, dotykać mnie a zdzierać talizman mego pochodzenia?

— Bogini Aralu kazała mi zdjąć ci tę przesądną znikomostkę słonecznych!

Zgrzytnęły wtóre podwoje i wyszedł z nich głos niby od dalekiego gromu pochodzący.

Istar dąży krajem kruczego pomroku, słysząc jedynie oddech piersi własnej. Stanęła przed bramą trzecią.

Tam czekał Gallu, demon wstrętny. Plugawą ręką zdarł jej z palców pierścienie.

Ale Istar już milczy, już się nie burzy, już tylko zacina się w sobie.

Przed czwartą bramą zdarto jej z ramion okółki. Przed piątą bramą zdjęto jej z nóg postoły. Przed szóstą bramą zdarto jej z bioder pas purpurą przetykany. Przed siódmą bramą zdarto z niej szaty wszystkie.

Szła już nietylko bosa, ale i naga.

A natychmiast za tą siódmą bramą otoczyły ją demony Annunaki, by zdjąć z niej dwie ostatnie ozdoby: piękno i zdrowie.

I zaraz jęły przyskakiwać inne demony, aby rzucać na nią przeróżne choroby.

Nadbiegł Aszaku i cisnął na nią gorączkę. Rozgorzały źrenice Istary a ciałem jej zaczął wstrząsać dreszcz.

Nadbiegł Rabissu i rzucił na jej skórę oparzeliny. Płomienie bolesne jęły lizać ciało Istary.

Nadbiegł Alu i rzucił jej raka na piersi. Istar zachwiała się, zgrzytnęła z bólu zębami. Głuchy jęk dobył się z jej ust opuchłych.

Nadbiegł Uttuku i rzucił jej wrzody w gardło. Istar poczęła charczeć i dusić się.

Nadbiegł Labassu i rzucił na jej członki skręcające konwulsje. Istar przypadła na kolana.

Nadbiegła Belit-Seri i rzuciła na nią trąd. Istar poczęła się czołgać a ciało odpadało z niej kawałami.

Nadbiegł Lilu i rzucił na nią próchnienie kości. Istar dysząc i charcząc wlokła się po kaleczących żwirach, jadem spływając, w jedną okropną ranę zmieniona.

Nadbiegł Lilit i zapalił w jej głowie pożary. Istar czuła zbliżający się obłęd.

. . . .

A równocześnie w górze, na ziemi, w krainie Ur-Kasdim, więdniał ostatek wszystkiego i gleba w proch bezpłodny się rozpadała.

Gdy Istar uczyniła krok siódmy, pochyliły się ostatnie irysy i jak zwęglone opadły na żółte trawniki.

Gdy uczyniła krok siedmdziesiąty siódmy, wylały wody rzeki Zabu.

A gdy uczyniła krok ostatni, ziemia stała się jako popielisko pogrzebowe i nastał jesienny potop.

. . . .

Nad pełznącą Istarą unosi się demon Aszaku i szepce zły:

— Rzeknij jeno dwa słowa: »Chcę wrócić!« A natychmiast przestaniesz cierpieć.

Nachylił potworne ucho do jej warg owrzodziałych i po chwili posłyszał wolno a głucho wydyszane:

— Chcę cierpieć...

Nachylił się do jej ucha Rabissu i zarechotał wściekle:

— Zdejmę ci oparzeliny, jeno rzeknij jedno słowo: »Wrócę!«

I nachylił nietoperzowe ucho do jej zjadzonych ust a po chwili posłyszał:

— Nie wrócę...

Oblegali ją ze wszystkich stron Alu, Utukku, Labassu, Belit-Seri, Lilu, Lilit. Krakali chórem sępów i orłów:

— Zamkną się rany twoje, opadnie ci rak od piersi, trąd żreć cię przestanie, głupia, jeno rzeknij jedno, to jedno, to jedyne jedno!

Tedy Istar uniosła oskorupiałym jadem pokrytą twarz i zacharczała tylko:

— Do Tammuza chcę!

Jako zerwie się stado żarłocznego ptactwa od padliny spędzone i poleci przez niebo kraczącemi chmarami, tak rozbiegły się na wszystkie strony demony i nastała przerażająca głusza, ciemność, pustka.

Istar pełzała dalej. Ale poczęła w niej słabnąć otucha, wola, pamięć. Już nie wiedziała, gdzie jest i do jakiego celu zmierza.

Już zapomniała, że się nazywa Istar, że zeszła

do krainy Aralu, że ma dopełzać do zdroju żywota i pokropić jego wodami głaz, przywalający Tammuza.

Ale jeżeli jeszcze pełzała w kierunku naznaczonym, to czyniła to tak bezświadomie, jak w świątyni Baala u kapłana Rebido pełza kawałek metalu do drugiego kawałka, czego żadną miarą pojąć nie można.

Stał się z niej jeden kłąb wrzodu. Pożar w jej głowie raz jeszcze się zapalił i zgasł. Nastała w jej pamięci zupełna noc.

Tylko jeszcze pełzała, pełzała.

. . . .

W tej chwili uderzyła czołem o głaz pokryty pleśnią. Poczuła orzeźwiający chłód. Posłyszała cieczenie wód.

Wyciągnęła rękę w ciemność. Umaczała ją a potem pokropiła głaz i siebie.

Gdzieś z góry, z niezmiernie wysoka padł promyczek blasku a zarazem ozwała się cicha muzyka, niby szumienie palm i brzęk owadów.

Tchnienie wiosenne poszło po przestworach. Z powietrza spływały balsamy, zamykały rany Istary, pieściły ciało jej pięknem, zaplatały włosy.

Niewidzialne ręce oblekły ją w szaty, na ramiona kładły okółki, nasuwały pierścienie na palce, włożyły jej koronę na czoło.

Niebiańskie marzenie wypełniło jej myśl. Ból,

cierpienie, brzydota, rany, wszystko znikło jak zapomniany sen.

I zaraz potem płyta kamienna wydała lekkie westchnienie, jęła się rozwiewać jak mgła a gdy znikła, ukazała się w kruczych rurkach usłana broda, pierś unosząca się życiem i żądzą, oczy zamglone miłością, usta rozchylone do uśmiechu.

Rośnie dokoła słodkie brzmienie. Twarz nachyla się nad twarzą i słychać dwa szepty bezgranicznego szczęścia, miłości, poświęcenia:

— Istar!

— Tammuz!

. . . .

Jakież to morze zapachów rozkołysało kwieciste swoje fale? Jakież to blaski wielobarwne zalewają przestrzenie? Jakież to śpiewy i okrzyki odzywają się w górze nad rozpękniętą ziemią?

To wzdłuż rzek Babilonji aż do odległej Niniwy rozbrzmiewają tysiączne okrzyki ludu:

— Tammuz zmartwychwstał!

Dwie wiośniane postaci, splecione uściskiem, unoszą się z mrocznych przepaści w świetliste przestwory, wyżej i wyżej.

. . . .

Uciekają wody potopu zimowego i wraca wiosna. Skurczył się Frat a Tygr stał się wąski jak złoty pas dziewicy.

Ziemia babilońska pokrywa się anemonem i oleandrem. Powietrze pachnie jak olejek różany.

Rolnik wyrusza w pole z ziarnem. Ogrodnik podcina winną latorośl. Rybak dobywa rękami ryby z wód Zabu.

Wiosna, wiosna!

Babilonja zamienia się w raj kwiatów.

. . . .

Na mgłach barwy lotosu, opasani tęczą, opromienieni różanym świtem, płyną kochankowie w stronę Eritu.

— Gdzieżeśmy to, Istar ukochana?

— W krainie żywych, wiosenny mój kochanku!

— Tyś mnie wywiodła z krainy Aralu?

— Pocałuj, Tammuz!

— Tyś zniosła dla mnie nagość, brzydotę, trąd?

— Uściśnij, drogi mój!

— Jakżeś to uczyniła?

— Kochaniem, Tammuz!

. . . .

Na kwiecisty ogród Babilonji patrzy Ea, bóg mądrości, patrzy okiem smutku.

Słyszy radość ludu i nie cieszy się.

Owiewa go morze zapachów a on ich nie czuje.

Pęka kwiat i sypie się ziarno, ale on tego nie widzi.

Bo nie do jego ramion obróci się piękna Istar.

Nie do jego łona roskoszne ciało nachyli. Nie na jego piersi skłoni przepiękną głowę.

Ea walczyć będzie z sobą, ale nadaremnie. Przeczeka lato a gdy zbliży się jesień, powie sobie: może teraz!

I znowu spędzi Tammuza do krainy bez powrotu. A Tammuz jednak z niej wróci. Znowu mniemać będzie, że może tym razem Istar do niego się nakłoni. I przekona się, że nie. Wtedy zbolały znowu pozwoli jej odejść za rzekę Chubur. Istar pójdzie, przeniesie nagość, noc, trąd. Zaczerpnie ze zdroju życia, wskrzesi Tammuza i sama odmłodnieje.

Powieją zapachy, rozlegną się wiosenne pienia, Istar uściskiem miłosnym wyczaruje kochanka z krainy Aralu, na nowe lato, na nowe kochanie. I słychać będzie szepty:

— Istar, tyś zniosła to dla mnie?

— Dla ciebie, Tammuz!

— Choćby mnie Ea co roku wydalał w krainę, skąd powrotu niema, pójdziesz i wywiedziesz mnie?

— Choćby co roku pójdę i wywiodę cię!



NARODZINY AMON-HOTEPA TRZECIEGO.

W liljowy wieczór egipski bóg Amon ujrzał Met-em-we śród sitowia kąpiącą się w Nilu, przeto uczuł miłosną tęsknotę a wezwawszy przed tron swój boga Touta, z głową pawiana, rzekł mu:

— Wejrzałem łaskawie na sprawy faraona i chcę go wielce uszczęśliwić. Pójdziesz tedy do jego małżonki, skromnej Met-em-we, i powiesz jej: oto Amon, bóg egipskich bogów, nawiedzi ciebie w łożu twojem.

I stało się, że kiedy Met-em-we wychodziła z Nilowego sitowia, zastąpił jej drogę boski wysłaniec z głową pawiana a ona natychmiast zrozumiała, iż chwila jest ważna.

Przystanęła tedy, skromnie oczy spuściwszy, i czekała, co jej powie. A on, odemknąwszy dziób pawiana, powiedział jej:

— Spiesz, skromna Met-em-we, a łoże nagotuj, albowiem skoro Chons, bóg księżyca, światłem swojem łagodnem rozwidni twój pałac, zjawi się u ciebie bóg bogów egipskich.

Skromna Met-em-we, ręce na piersiach złożywszy, odparła:

— Idź a powiedz bogu bogów, że służebnica jego Met-em-we uczyni wedle rozkazu i bardzo będzie rada.

Potem udała się pospiesznie do pałacu i poczęła własnoręcznie gotować łoże.

Gdy to ujrzał mąż jej, faraon Tutmozis, bardzo się ucieszył i rzekł:

— Oto wzorowa małżonka!

Ale Met-em-we, gotując łoże, odparła:

— Nie ty, potężny małżonku mój, stąpisz dziś do tego łoża, ale całkiem kto inny.

Tedy Tutmozis bardzo się przestraszył i rzekł do małżonki swojej:

— Nie rozumiem ciebie, Met-em-we, albowiem zawsze byłaś skromna i nigdy słowa podobne z ust twoich nie wychodziły!

Ale gdy to mówił, oto obłok uczynił się przed nim, a z tego obłoku wyszła świetlista postać z głową pawiana i rzekła:

— Potężny faraonie! Nie pójdziesz dziś do łoża małżonki twojej, ale razem ze strażą twoją strażować będziesz dokoła pałacu, aby nikt nie przeszkodził temu, co się ma tam dziać.

To powiedziawszy wstąpił znowu do obłoku i razem z nim zniknął a Tutmozis uczuł, iż objawiona mu została wola bogów.

Tedy wziął wszystkie straże swoje i otoczył pałac, sam stanął przed progiem sypialni swojej małżonki i był wielce przejęty ważnością chwili.

A Met-em-we, nagotowawszy łoże, położyła się weń i czekała.

Wtedy Chons, bóg księżyca, wszedł na niebo i oto łagodne światło napełniło sypialnię.

A zarazem odezwała się cudna muzyka, niby szmer toczących się wód Nilu, niby powiew palmy, niby szeptanie duchów, a słodkie zapachy wypełniły modre powietrze.

I stanął przed łożem Met-em-we perłowy obłok, bardzo wysoki i bardzo dziwny.

A gdy obłok ten nieco zrzedniał, oto ukazał się w nim siedzący na tronie Amon, bóg egipskich bogów. Na głowie miał kołpak w kształcie dwóch palców, podwiązany różową wstążką u podbródka. W lewej ręce dzierżył berło a w prawej Klucz Nilu, czyli Znak Żywota. Świetlista szata owijała ciało jego od szyi aż do stóp, bardzo szczelnie. Oblicze jego zaś było jako blask słońca, który oślepia; oczy niby dwa szafiry w kształcie dwóch ku sobie płynących rybek, nos jako złota gruszka wpół przecięta a usta jako wstęga purpurowa świtu.

Met-em-we, ujrzawszy go, popadła jakby w zem-

dlenie. Ale nie zemdlała, tylko była bardzo zachwycona.

Tedy Amon powstał z tronu swego a najpierw złożył na niem Berło i Klucz. Potem odwiązał różową wstążkę u gładkiego podbródka, zdjął kołpak i postawił go na tronie. Następnie rozpiął szczelną szatę swoją u szyi i począł ją odwijać.

Met-em-we popadła jakoby we wtóre omdlenie. Ale nie omdlała, jeno była bardzo zachwycona.

Tedy Amon wstąpił do jej łoża. A Met-em-we uczuła, że łoże to zamienia się w pałający hieroglif. A gdy hieroglifowi temu przypatrzyła się lepiej, odczytała go, że znaczy: Niebo.

Tedy popadła jakby w trzecie omdlenie. Ale nie omdlała, jeno była bardzo zachwycona.

A wtedy perłowy obłok rozszedł się dokoła całego hieroglifu i przysłonił go ze wszystkich stron, że darmo za progiem stojący Tutmozis, małżonek, ostrożnie odchylał ciężką zasłonę, nic nie mogąc ujrzeć, jeno jakoby perłowy dym, który całą izbicę wypełniał a miał zapach lotosu i grał tajemniczą muzyką, niby szmer ciekących wód Nilu, niby powiew palmy, albo poszept duchów.

. . . .

W różowy zaranek egipski bóg Chnum, z głową kozła, przebierał glinę obu rękami a wciąż do niej wody dolewał, aby była podatna do lepienia.

Tedy stanął przed nim bóg Tout, z głową pawiana, i rzekł mu:

— Oto przychodzę do ciebie z rozkazu Amona, boga egipskich bogów, ażebyś ulepił chłopca i jego stróża opiekuńczego, albowiem Met-em-we, małżonka faraona Tutmozisa, poczęła z woli boga bogów i oto niebawem porodzi.

Tedy Chnum, z głową kozła, zaprzestał przerabiać glinę a wzniósłszy obie ręce, rzekł:

— Powiedziane jest, że przyniesiesz znak, po którym poznam prawdziwość słów twoich.

Tedy Tout, z głową pawiana, sięgnął w zanadrze a dobył z niego Klucz Nilu, to jest Znak Żywota.

Natychmiast Chnum, z głową kozła, pochylił się, uniósł ręce jeszcze wyżej i rzekł:

— Powiedz Amonowi, bogu egipskich bogów, że stanie się wedle wszechpotężnej woli jego.

Tout, z głową pawiana, wręczył mu Klucz Nilu a Chnum, z głową kozła, przerabiał nim glinę aż do wieczora i noc całą i dzień i znowu noc, aż do trzeciego świtu egipskiego.

A gdy glinę dostatecznie ożywił, podniósł oczy, bo oto stanął przed nim Tout, z głową pawiana. Oddał mu do rąk własnych Klucz Żywota a sam począł lepić królewskiego chłopca i jego stróża opiekuńczego, który, przez całe życie niewidzialny, iść miał za nim od kołyski aż do grobu, mającego być w piramidzie na krawędzi Puszczy Libijskiej.

. . . .

Z cichym szmerem toczy Nil swoje wody liljowe a skromna Met-em-we zażywa kąpieli.

Zanurzona jest po pierś i pluszcze się, wydając okrzyki radości. Albowiem woda jest bardzo miła i przyjemna.

Szaty jej leżą na brzegu śród sitowia a strzegą ich trzy służebnice nubijskie, bardzo czarne. Siedzą i pasą oczy pięknem miedzianego ciała Met-em-we.

Dokoła w wodzie Nilowej krążą krokodyle o łusce zielonej i załzawionem oku. Niektóre wyłażą na brzeg a poglądają ku Met-em-we i bardzo są zachwycone.

Niekiedy tylko, skoro który z nich posłyszy w górze ćwierkot, rozdziawia paszczę swoją bardzo szeroko. Ptaszek, szczygieł albo przepiórka, osiada na ziemi i poczyna skakać w stronę rozdziawionej paszczy. A potem skacze w samą paszczę i poczyna w niej dzióbać. Tedy paszcza zamyka się a krokodyl patrzy dalej załzawionem okiem na piękną Met-em-we.

Słońce stało się niezmiernie gorące a skwar usypiający. I posnęły na brzegu nubijskie służebnice a także wszelkie szczygły, przepiórki i krokodyle, w piasku gorącym leżące.

Właśnie Met-em-we miała raz jeszcze się zanurzyć, kiedy na wodach ukazał się dymny obłok a z niego wyszedł Tout, z głową pawiana, i w te słowa odezwał się do niej:

— Spiesz, skromna Met-em-we, wdziewaj szaty i idź do pałacu. Albowiem z woli Amona, boga bogów egipskich, porodzisz syna, którego nazwiesz Amon-Hotep Trzeci a ten będzie królował po mężu twoim Tutmozisie, wzniesie wiele świątyń ku czci boga bogów a sobie wystawi piramidę na krawędzi Puszczy Libijskiej, będąc przez kapłanów wielce szanowanym.

To powiedziawszy, wstąpił znowu do dymnego obłoku i zniknął a Met-em-we wyszła na brzeg, ubrała się i podążyła ze swemi nubijskiemi służebnicami do pałacu.

Zaraz tedy poczęła gotować łoże a małżonek jej, który pił wino, znowu był tym widokiem bardzo ucieszony i rzekł do niej:

— Wzorową jesteś małżonką, zacna Met-em-we, albowiem właśnie wino rozweseliło członki moje i bardzo jestem wesoły.

Ale Met-em-we, wciąż gotując łoże, odparła mu:

— Nie wstąpisz dziś do mego łoża, wierny małżonku a władco, albowiem zlegnę i porodzę syna, którego nazwę Amon-Hotep Trzeci. A on będzie panował po tobie, wystawi wiele świątyń ku czci boga bogów a sobie piramidę na krawędzi Puszczy Libijskiej i będzie wielce szanowany przez kapłanów.

Gdy Tutmozis to posłyszał, zaraz przestał pić wino i nakazał wielką ciszę w całym kraju przez trzy dni i trzy noce, aby najmniejszy szmer nie

dochodził do pałacu. A drugie sługi rozesłał, aby się zeszły wszystkie położne i królowej służyły. A trzecie sługi rozesłał, aby u najzdolniejszych rzemieślników zamówiły kolebkę. A czwarte sługi rozesłał, aby sprowadziły wszystkie młode niewiasty, świeży pokarm w piersiach mające. A piąte sługi rozesłał, aby sprowadziły wszystkich kapłanów z świątyni Amona w Tebach gwoli obrzezania nowonarodzonego. Rozesłał także sługi szóste i siódme, każde wedle innych potrzeb i czekał.

A wtedy stanął przed nim dymny obłok, z którego wyszedł Tout, z głową pawiana, i rzekł mu:

— Gdy wysłane przez ciebie sługi wrócą wraz z tymi, po których posłałeś, nie wpuścisz ich do pałacu, jeno strażami strażować go będziesz, sam także stojąc, gdzie ci stać należy, albowiem inne tu przybędą położne i inne niewiasty, pokarm świeży w piersiach mające i inne się stawią rzezaki i inny rzemieślnik kolebkę uczyni. Ci zaś, którzy przyjdą, mają tylko patrzeć, jako się to wszystko bez nich stanie. Tak nakazuje Amon, bóg egipskich bogów, a ty go słuchaj i podziwiaj.

Tedy Tutmozis zwołał wszystkie straże swoje i otoczył pałac a sam stanął przed progiem sypialni małżonki swojej, która legła w łożu i leżąc śpiewała pieśń szczęścia.

A z wszystkich stron Egiptu napływały tłumy położnych i otoczyły pałac. Potem napłynęły tłumy rzemieślników, niosąc różne kołyski do wy-

boru, szczerozłote, z hebanu i z kości słoniowej. A potem w uroczystym pochodzie przybyli z Teb kapłani Amona. A wreszcie przyszła cała ludność Egiptu i uczyniła dokoła pałacu wielki obóz. I przyszły jeszcze różne narody, jako to z Nubji, Assyrji, Babilonji. Cisza była wielka, tylko z pałacu faraona słychać było, jak Met-em-we śpiewała pieśń szczęścia.

I dziwił się lud Egiptu a powiadał:

— Jako to jest? U nas niewiasta, gdy zlegnie, bardzo stęka i trwoży się a ta śpiewa pieśń szczęścia?

A ludy Nubji mówiły:

— Zaprawdę, tego jeszcze nie było!

A ludy Assyrji mówiły:

— Któż to pojąć jest zdolen?

A ludy Babilonji nic już nawet nie mówiły, dziwiąc się wielce.

Śpiew zaś Met-em-we nie ustawał, jeno był coraz piękniejszy i coraz więcej w nim było zachwytu.

. . . .

Naraz uczyniła się cisza wielka.

I oto ustał wiaterek najlżejszy a liście na drzewach powisło nieruchomie.

Ptak w locie zatrzymał się a stanął w powietrzu na rozpostartych skrzydłach. Liljowy Nil przestał ciec a spiętrzyły się jego wody. Na niebie słońce stanęło w pochodzie swoim.

Skarabeusze zatrzymały się i krokodyle, przez pół z rzeki wychylone. Wszystko tak stanęło.

A z narodów dokoła pałacu zgromadzonych kto mówił, zatrzymał się w połowie wyrazu, kto usta miał odemknięte, nie domknął ich, kto rękę miał wzniesioną, nie opuścił jej, kto krok właśnie czynił, tak został przez pół na ziemi, przez pół w powietrzu.

Niebo i ziemia stanęły w swem ciągłem ruszaniu się a zamilkły.

. . . .

Sypialnię Met-em-we wypełnia obłok perłowy, zapach lotusu i brzmienie łagodnej muzyki.

Na tronie wprost łoża siedzi Amon w kołpaku kształtu w tył przechylonych dwóch palców, pod brodą podwiązanym różową wstążką. W lewej dzierży berło a w prawej Klucz Nilu.

Przed łożem Met-em-we stoi bogini Izis, naga w swej piękności, tylko pod piersiami miedzianemi pas ma purpurowy, nabijany turkusami, na nogach i ramionach złote obroże, na szyi siedmiorzędny naszyjnik z pereł i djamentów a na głowie kołpaczek w kształcie wielkiej kuli z odchylonemi w oba boki piórami strusiemi. Oczy ma jak dwa rubiny w kształcie dwóch migdałów a nos jak miedzianą gruszkę, przez pół przekrojoną. Całe oblicze jej jest wielkie, boskie, piękne.

Obok niej stoi bogini Hator, z głową krowy.

Dalej znów bogini Sefchet-Ebui, dzierżąca święte Drzewo Rodu.

A z drugiej strony łoża stoi Maat, bogini sprawiedliwości, mająca na głowie Znak Tchnienia. Obok niej stoi Bastet, bogini radości, z głową kocicy. A wreszcie Opet, bogini urodzeń, z głową hipopotama.

Prócz nich stało jeszcze wiele bogiń a między niemi Sechmet, z głową lwicy, bogini wojny, Selket, z głową skorpiona i bóg Harmachis, z głową krogulca, nóż święty w ręku dzierżący.

Tedy bóg Tout, z głową pawiana, trzykrotnie klasnął w dłonie i rozpoczęło się.

Bogini Izis zwróciła się do Amona a ten wręczył jej Klucz Żywota.

Tedy Izis kluczem tym otworzyła łono Metem-we i wyjęła z niego chłopca, łono zamknęła i klucz Amonowi oddała.

Następnie wręczyła chłopca bogini urodzeń Opet, z głową hipopotama, a ta zawiązała mu pępek.

Opet oddała chłopca bogini Maat, ze Znakiem Tchnienia na głowie. Ta Znak ów zdjęła z głowy a do ust chłopca przysunęła i oto weszła w niego dusza żywiąca.

Tedy oddała go bogini Sechmet, z głową lwicy, a ta chłopca wykąpała i olejkami wonnymi namaściła.

Sechmet oddała chłopca bogu Harmachis, z głową krogulca, a ten chłopca obrzezał.

Harmachis oddał chłopca bogini Sefchet-Ebui a ta imię jego wypisała na świętem Drzewie Rodu.

Sefchet - Ebui oddała chłopca bogini Hator, z głową krowy, a ta chłopca nakarmiła.

I oto znowu wzięła chłopca na ręce swoje bogini Izis, podeszła do Amona, boga bogów egipskich, który wziął go z rąk jej na swoje ręce i uznał.

Wówczas bogini Izis wzięła chłopca z łona Amonowego a oddała matce.

I oto perłowy obłok przysłonił tron Amonowy i jego samego, przysłonił Izydę, Sechmet, Maat, Hator, Harmachis, wszystkie bogi i boginie.

Sam też rozpłynął się, ucichła muzyka, tylko znowu w sypialni królowej rozległa się pieśń szczęścia.

Wtedy małżonek, faraon Tutmozis, wbiegł do sypialni i rozpłakał się.

. . . .

I oto tej samej chwili spiętrzone wody Nilu potoczyły się dalej. Ptak z rozpostartemi skrzydły w powietrzu wiszący, począł niemi trzepotać a lecieć dalej swoim lotem przerwanym. Krokodyle i ptaki ożyły. Liście wszelakie poruszyło się na drzewach. Słońce potoczyło się dalej w pochodzie swoim. Odemknięte usta kończyły dalej niedopowiedziany wyraz a zawisłe w powietrzu ramiona znowu były swobodne. Kto stężał w połowie stawionego kroku, dokończył go teraz. Ożyło wszystko dokoła

pałacu, choć jeszcze milczało ze zdumienia, pojąc się tylko pieśnią szczęścia, która płynęła z komnaty królowej.

I oto zawołał cały lud Egiptu:

— Patrzyliśmy na rzecz wielką!

I oto rzekły ludy Nubji:

— Niepojęte to jest!

I oto rzekły ludy Assyrji:

— Bardzo będziemy musieli starać się o sojusz z nowonarodzonym, albowiem wszystkie bogi wzięły go w opiekę swoją!

A ludy Babilonji nic nie mówiły jeno zgodziły się między sobą, że przyślą dla nowonarodzonego dużo kadzidła, purpury i olejku sezamowego.

. . . .

Tak przyszedł na świat nowy faraon Egiptu, Amon-Hotep Trzeci, przez kapłanów wielce szanowany, który ku czci Amona wiele świątyń wystawił a sobie na krawędzi Puszczy Libijskiej wielką piramidę, w której legł, gdy już się do woli nażył a spełnił wszystko, co mu było nakazane przez Amona, boga bogów egipskich.



LIST URZĘDOWY UWEHU.

W Urusalim, które jest jako pępek łona wypukłej krainy Palesztim, ucztuje Uwehu, wojownik i zarządca z ramienia potężnego Chuen-Atena, czyli Odblasku Tarczy Słonecznej.

Ucztuje już trzy dni i trzy noce, albowiem wysłać ma odpowiedź na pismo swego pana i wytłomaczyć, dlaczego z ziemi Chabirów nie może posłać mu w tej chwili ani jednego talentu.

Ażeby na takie pismo dobrze odpisać, trzeba ucztować nie trzy dni, ale siedm dni. Pisarz przygotował już wilgotną cegłę i od trzech dni i trzech nocy trzyma rylec w posłusznej dłoni.

Zamek jest zbudowany z drzewa cedrowego. Otacza go częstokół i cztery drewniane baszty.

Na każdej baszcie stoi strażnik. Jeden patrzy w stronę miasta Kadesz, które leży daleko na północ. Drugi patrzy w stronę ziem Ur-Kasdim, to

jest na wschód. Trzeci patrzy w stronę morza, to znaczy na zachód. A czwarty wcale nie patrzy, tylko śpi, bo musiałby patrzeć na południe, w stronę ziemi Mucur, co jest całkiem niepotrzebne, gdyż na południe aż do ziem Nilu rozciągają się dzierżawy Chuen-Atena, który włada pod opieką Tarczy Słonecznej i ziemski jej odblask stanowi.

Księżyc pokazał swoje rogi czerwone i idzie po niebie od oliwnej góry Et-Toor, leżącej na lot strzały za miastem, w kierunku baszty wschodniej.

W dole szumi po skałach rzeczka Kidron. W mieście tu i ówdzie snują się jeszcze Chabiri. Mają krucze brody nie czesane a na biodrach baranie skóry. Tylko bogatsi noszą na biodrach kolorowe sukienki egipskie, na nogach postoły i rurkują sobie brody.

Oni też każą zwozić do zamku Uwehu całe miechy wina i całe ćwierci wołowiny. Dostarczają mu też tancerek i żon, ile zechce.

A także siedzą rzędem przy ścianach i bardzo chwalą wszystko, co powie i uczyni.

Na zamku słychać warczenie bębenków, granie piszczałek i cytr, oraz biesiadny hałas.

Strażnik baszty północnej poziewa. Patrzy jednak pilnie w modrą dal, bo Uwehu za najmniejsze przeoczenie sam własnoręcznie ucina głowę. A w tej modrej dali nic nigdy nie widać, dopiero bardzo blisko.

Strażnikowi zdaje się, że z wąwozu wysuwa się jakiś orszak. Tak, kiwają się wielbłądy. Ujął tedy klekotkę i począł klekotać.

Natychmiast wszczął się ruch w dole i stanął pod bronią oddział żołnierzy. Ale Chabiri wylegli przed bramy a jeden pocwałował naprzód na osiołku.

Gdy wrócił, oznajmił, że żołnierze mogą iść spać, albowiem zbliża się Ajaba, żona księcia Hazor, która wiezie podatek dla Chuen-Atena.

Zaraz też otworzono bramę na ścieżaj, aby orszak mógł wygodnie wjechać.

Przodem dreptał osiołek a na nim jechał wojownik uzbrojony w dzidę.

Za wojownikiem jechał na wielbłądach cały oddział żołnierzy, którzy mieli między sobą dwa muły, objuczone złotem.

Dopiero za tym oddziałem jechała na ogromnym dromedarze Ajaba, spoczywająca pod pysznym baldakimem. Koło niej dążyły na osiołkach dwie służebne. I znowu szły zwierzęta juczne. Orszak zamykało kilku jeźdzców dobrze uzbrojonych.

Chabiri oblegli Ajabę już w bramie i towarzyszyli jej przez miasto aż do zamku. Witali ją bardzo uprzejmie, wypytywali o zdrowie i powodzenie księcia a także całego kraju, wreszcie ofiarowali jej swoje usługi.

Ajaba tłomaczyła im, że Hazor ma zapłacić

trzydzieści talentów podatku. Ale czasy są bardzo ciężkie.

Chabiri przytwierdzili jej, że istotnie czasy są niesłychanie ciężkie. Ale pytali, ile też wiezie na poczet podatku.

Odpowiedziała, że pięć talentów i zapytała się, jakby tu zrobić, żeby Uwehu zadowolnił się tym podatkiem.

Odrzekli, że będzie ciężko, ale że uczynią wszystko, aby jej pomódz, gdyż bardzo poważają księcia Hazor i pragną z nim jak najlepszych stosunków, zwłaszcza w tak ciężkich czasach.

Ajaba wprost ich spytała, ile będą żądali za okazanie tej pomocy. Oni bardzo się oburzyli i przysięgali się, że nic nie wezmą. Chyba, jeżeli bardzo dobrze pójdzie, wynagrodzi ich wedle swego uznania.

A teraz niech przedewszystkiem zażyje kąpieli i namaści się olejkami, gdyż Uwehu ucztuje i trzeba przed nim stanąć w całym blasku urody.

Zawiedli ją do domu Abimilika i nie szczędzili żadnej zabiegliwości. Nim zmieniono straże, Ajaba wykąpana, wyolejkowana, utrefiona, w szacie lekkiej jak liljowy obłoczek a w ciężkich klejnotach na ramionach, nogach, szyi i głowie, niesiona była w lektyce przed wrota zamkowe.

. . . .

Jest wielka izbica z cedrowych wiązadeł, słabo oświecona lampkami olejnemi. Wzdłuż czterech

ścian siedzą Chabiri, mąż w męża do siebie podobny kruczą rurkowaną brodą, garbatym nosem, wąskiem a wysokiem czołem i wciąż w ukłonach naprzód pochylającą się postawą. Tylko u bioder mają sukienki różnych kolorów, błękitne, czerwone, zielone.

W jednym kącie izbicy gromadzą się ludzie, grający na różnych instrumentach, jako to na bębenkach, trójkątach, piszczałkach i cymbałach.

Przed siedzącymi u ścian Chabirami stoją długie a niskie stoły, zastawione mięsiwem i dzbanami różnych kształtów, czy to pękate jak kaczki, czy wysmukłe jak żórawie lub ibisy.

W samym środku izbicy pod baldakimem leży na wezgłowiu Uwehu. Przy nim nieduży okrągły stół o lwich nogach, na stole misy i dzban spiżowy.

Między jego wezgłowiem a stołami Chabirów krążą tłumy tancerek. Teraz nie tańczą, tylko przechadzają się, bo niewolnicy wnoszą świeże potrawy i napełniają winem dzbany.

Po drugiej stronie wezgłowia siedzi przy stoliku pisarz Uwehu. Na stoliku leży surowa cegła. Pisarz trzyma w ręku rylec i nie spuszcza z oka Uwehu.

Jest to stary egipcjanin, cały jak z bronzu ulany, o nogach chudych, nos jak przez pół przecięta gruszka, twarz bez zarostu, całe czoło ułożone w poprzeczne zmarszczki. Około bioder ma sukienkę białą, nakrapianą.

Wszystkie oczy są zwrócone na Uwehu, który

naprzemian pije, je, wydaje rozkazy i zasypia. A kiedy się zbudzi, znowu wydaje rozkazy, je i bardzo dużo pije.

Jest on całkiem podobny do swego pisarza, tylko połową lat jego piękniejszy. Brodę ma rurkowaną na sposób babiloński; suknia jego kryje nietylko biodra, ale pierś, plecy i przez lewe ramię jest spięta kosztowną zapinką. Jest barwy błękitnej, przetykana purpurą, że raz uderza oczy błękitem, a drugi raz czerwienią. Na nogach ma postoły całkiem purpurowe; na wszystkich palcach u rąk pierścienie, na gołych ramionach złote węże a w uszach złote koła.

Kiedy Ajaba stanęła przed wezgłowiem, muzykanci uderzyli we wszystkie instrumenty i powstał dokoła wielki okrzyk Chabirów: »Aaa!«

Wszelako Uwehu właśnie się był zdrzemnął. Ale zbudziła go muzyka i hałas. Odemknął oczy, popatrzył trochę nieprzytomnie na Ajabę i rzekł:

— Kto jesteś?

— Służebnica twoja, waleczny Uwehu, Ajaba, małżonka księcia Hazor.

Uwehu jak żgnięty siadł na wezgłowiu i nie patrząc na nią począł krzyczeć w stronę pisarza:

— Hazor zalega trzydzieści talentów podatku, prawda, Biszimi? Trzydzieści talentów zalega od roku. Pan mój i bóg, potężny Chuen-Aten, świetny Odblask Tarczy Słonecznej, pisze mi: Uwehu, idź na Hazora, nałóż mu pęta i przyślij mi go!

— Przywiozłam podatek — odrzekła Ajaba głosem dumnym.

Uwehu aż się w tył cofnął i popatrzył na nią. Przetarł oczy, czy dobrze widzi. Twarz jego zaraz ogromnie złagodniała. Przetarł oczy powtórnie a na twarz jego wypłynęło zdumienie. Tak pięknej niewiasty nie widział jeszcze. A ona stała prosta, dumna, wyniosła, piękna jak zjawisko, patrzyła mu spokojnie w oczy i powtórzyła z naciskiem:

— Przywiozłam podatek.

Ale Uwehu już był całkiem o podatku zapomniał. Wstał, trzeźwy zupełnie, przyłożył obie dłonie do piersi, pochylił się nieco naprzód i rzekł:

— Ażali Asztoret nikczemne progi moje nawiedziła?

Wtedy Ajaba, tak samo dłonie na piersiach położywszy, przechyliła się nieco naprzód i spuściwszy skromnie oczy, rzekła:

— Ażali Ramman, bóg mój, przedemną stoi?

Chabiri, rzędem u ścian siedzący, podnieśli ręce na wysokość skroni i wydali okrzyk zachwytu:

— Zaprawdę! Ramman i Asztoret, świetna para bogów!

Zawarczały bębenki, uderzyły cymbały i zagrały piszczałki a z trójkątów wyszło wielkie dzwonienie. Po chwili Ajaba siedziała już na wezgłowiu obok Uwehu.

Tancerki ruszyły w pląsy, niewolnicy przysta-

wili drugi stół dla Ajaby i natychmiast podsuwali jej różne misy z potrawami. Uwehu, który już stał się bardzo uprzejmy i rozmarzony, prosił, aby z nim piła z jednego dzbana.

Potem niewolnicy znikli i otoczył piękną parę wir rozkołysanych tanecznic.

Z wiru tego odrywały się niekiedy kwiaty i padały na Ajabę i Uwehu. Błyskały też namiętne spojrzenia, rozkoszne uśmiechy i zalotne ruchy. Ale Uwehu tego nie widział. Patrzył tylko na Ajabę.

Wino i odurzający taniec podziałały na nią. Oliwkowa twarz jej tryskała teraz czerwonym rumieńcem a czarne oczy rzucały ognie. Śliczny uśmiech rozchylił jej nieduże usta, mające barwę ponsowych listków róży.

Popatrzyła na Uwehu i lekko zmrużyła oczy. Uwehu objął ją wpół.

Nie broniła się. Natomiast sama położyła rękę na jego lędźwi, uszczypnęła go i rzekła:

— Jabitiri, jesteś wielki wojownik!

Uwehu przybladł i odparł:

— Ofiaruję ci okrągły talent, jeżeli mi się oddasz.

Ajaba rzekła z tym samym uśmiechem:

— Mało.

Uwehu zmarszczył się. Cofnął rękę, dzierżącą jej kibić i rzekł gniewnie:

— To ci nic nie ofiaruję a oddasz mi się i tak!

— Spróbuj — odparła Ajaba z tym samym ponętnym uśmieszkiem.

Uwehu wstał, krzyknął na tancerki: »precz!« Muzyka natychmiast przycichła, tancerki rozproszyły się ku ścianom a Chabiri rzędem popodnosili ręce ze zdumienia i poodmykali usta.

— Biszimi! — krzyknął Uwehu na pisarza.

— Dzierży rylec w posłusznej dłoni — dał się słyszeć głos z drugiej strony wezgłowia.

— Pisz, Biszimi: Do mego króla, do mego pana, do mego boga, mego słońca, ja, tu, bez niego ślepy, Jabitiri, sługa, proch, który łaskawie otrząsnąłeś ze swoich postołów, w Ursalim, ziemi Palesztim, odpisuję ci, słońce moje, że książe Hazor, oby nie żył, zalega ci w podatkach, ojcze dobrotliwy, ma zapłacić talentów dobrze odważonych trzydzieści a przez swoją małżonkę przysłał...

Tu przerwał i zwrócił pytający wzrok na Ajabę, która z tym wiecznie ponętnym uśmieszkiem, patrząc mu prosto w oczy, rzekła:

— Pięć talentów...

Uwehu pod wpływem tego uśmiechu znowu całkiem zapomniał o podatku i o liście, który dyktował. Ajaba zaś uszczypała go po lędźwi drugi raz i szepnęła mu do ucha:

— Niezwykły z ciebie wojownik i piękny człowiek, Jabitiri!

Uwehu zbladł jeszcze bardziej i odszepnął jej:

— Dam okrągłe dwa talenty!

— Żarty stroisz!

— Dam trzy!

— Słyszeć nawet nie chcę...

— Cztery!

— Jabitiri, masz bardzo jędrne lędźwie i wzrok pełen marzenia...

— Więc ile żądasz?

— Niżej dwudziestu pięciu talentów nawet niema co gadać...

Uwehu miał wrażenie, że go egipska chaja ukąsiła. Już chciał wybuchnąć. Ale pohamował się i zawołał:

— Zobaczymy!

A potem w stronę pisarza:

— Biszimi, jest on tam?

— Dzierży rylec w posłusznej dłoni.

— Pisz, Biszimi: Przysłał talentów pięć i powiada, że resztę przywiezie sam, co jest kłamstwo ohydne, bo nie przywiezie nic i dlatego prosi cię sługa twój, Jabitiri, abyś mu na tego nędznego dłużnika przysłał sześć kusz, trzy tysiące procarzy i tysiąc łuczników, gdyż zamek Hazora trzeba spalić, jego samego w powrozach posłać tobie dla ukarania a żonę jego, Ajabę, starą i brzydką niewiastę, uczynić za te trudy niewolnicą twego skrzętnego sługi Jabitiri...

Tu urwał, gdyż Ajaba wstała i klasnęła w dłonie na sposób tancerski. Natychmiast zawarczały

bębenki, zagrały piszczałki, uderzyły cymbały i skoczny takt podały dźwięczne trójkąty.

Wtedy Ajaba wystąpiła na środek izbicy, uniosła wdzięczne ręce nad głowę i uczyniła obrót naokoło siebie, stanąwszy znowu nieruchomo.

Uwehu osłupiał.

Ajaba uczyniła drugi obrót około siebie a w tej chwili szata opadła jej aż do pasa. Błysnęły piersi oliwkowe kształtu paru jabłek granatowych.

Uwehu pożerał ją oczami.

A ona, niby zamyślona, znowu nad głowę uniosła ręce, jakby w przestwory ulatując, uczyniła obrót trzeci i w tej chwili opadła szata całkiem z jej postaci.

Uwehu błysnął zębami a cała twarz jego wyrażała pożądliwy zachwyt.

Wszystkie instrumenty uderzyły naraz burzą tonów i oto Ajaba puściła się w szalony pląs.

Niby liść tamaryndy, wietrzykiem pędzony, niby pustynną nawałnicą skręcony słup złotego piasku, unosiła się i opadała, była wszędzie i nigdzie, to posąg spokojny, to w szereg postaci zmieniona, mieniąca się, ponętna, piękna, lubieżna.

Rzędem przy ścianach siedzący Chabiri popodnosili ręce do wysokości skroni, kiwali się w takt a z ust ich dobywało się wołanie wielkiego uniesienia.

Uwehu wstał. Drżał na całem ciele. Postąpił krok naprzód i wyciągnął ręce. Drugi krok na-

przód postąpił i w stronę migających kształtów, w stronę zawieruchy blasków ciała kobiecego, w stronę błyskawic ruchów, szeptał namiętnie:

— Dam całe pięć talentów, któreś przywiozła!

Ale z tej zawieruchy wdzięków i ponęt odebrzmiał szept nieco urywany:

— Dwadzieścia pięć i ani pół mniej!

— Ależ to prawie cały podatek!

— Pięć już dałeś!

— Dam siedm...

— Nie chcę!

— Dam dziewięć...

— Pisz skargę do swego pana!

— Dam okrągłe dziesięć i łeb sobie rozwalę obuchem...

— Rozwal sobie łeb a niżej dwudziestu pięciu nic z tego...

Uwehu pobladł strasznie. Oczy jego stały się mętne, usta drżały. Patrzył jak odurzony w ten splot błyskawicowy piękna i rozpaczliwym niemal głosem zawołał:

— Dam dwadzieścia pięć!

W tej chwili zawierucha kształtów znikła i niby ze złotej mgły wyłoniła się prześliczna postać, znowu w szacie pod szyję zapiętej, padła na pierś Uwehu i szepnęła zdyszanym, lubieżnym głosem:

— Jesteś wielki wojownik, Jabitiri!

Uwehu ułożył ją na wezgłowiu, podał dzban, piła chciwie, potem legła na wznak. On ukląkł

przy niej a tymczasem dokoła nich zawrzała burza setki tancerek, setki wirujących postaci, kształtów, spojrzeń, zamęt odurzający, pędzony falami muzyki.

Uwehu pieścił Ajabę i błagał, lecz ona omdlałym głosem rzekła:

— Pisz pierwej!

Uwehu potarł czoło, bo myśli mu się plątały.

— Biszimi!

Pisarz nachylił się ku niemu i przyłożył dłoń do ucha.

— Ostatnie słowa?

— Ajabę za trudy uczynić niewolnicą twego sługi Jabitiri...

— Pisz dalej: Ale żeś jest słońce, które wszędzie zajrzy...

— Nie słyszę...

— Zajrzy!

— Zajrzy...

— I prawdę pozna, przeto uwierzysz słudze twemu, gdy ci doniesie, że Hazor rzeczywiście nie mógł wszystkich pieniędzy odrazu przysłać, albowiem tabor jego opadli libańscy rozbójnicy i pieniądze zabrali. Winien on jest tylko, że nie oddał nędznego żywota w obronie skarbu dla ciebie przeznaczonego. Ale tłomaczy się, że gdyby umarł, to nie mógłby wogóle płacić tobie, słońce, podatku. Dlatego procarzy i łuczników, których mi przyślesz, użyję na tych łotrów libańskich, aby

ich wytępić. Tak pisze sługa twój, proch opadły z twych postołów, zarządca Urusalim, Jabitiri...

Tu urwał i popatrzył na Ajabę, która zarzuciła mu ręce na szyję i szepnęła:

— Ja umrę, Jabitiri...

— Czego żądasz?

— Abyś o mnie zmienił, coś pisał...

— Biszimi! Jest on tam?

— Dzierży rylec w posłusznej dłoni...

— Pisz: Nieszczęsny Hazor pomocy twojej wzywa a szlachetna małżonka jego powiada, że odtąd przestaje wierzyć w boga Rammana, choć wiele dobrego jej wyrządził i wszystkie modły zawsze wysłuchiwał, a natomiast pocznie wielbić sławioną przez ciebie, wielki, Tarczę Słoneczną, ona, mąż jej, nawet niewolnice i całe ich wojsko.

— Jabitiri, jesteś wielki wojownik! Każ cegłę wysłać zaraz.

— Biszimi, idź bezzwłocznie z cegłą do pieców, a gdy będzie należycie wypalona, przez osobny oddział wyślesz.

— Wyślę, posłuszny twój sługa.

To rzekłszy, ujął cegłę i zniknął w tłumie tanecznym.

— Jabitiri — ozwała się mdlejącym głosem Ajaba.

— Czego żądasz jeszcze?

— Mąż mnie zabije...

— Obronię ciebie.

— Obroń. Kupcom wschodnim dłużna jestem za tkaniny przednie, w których mnie tu widzisz...

— Ile? — szepnął niepewnym głosem Uwehu.

— Tylko dwa talenty.

— Weź je z przywiezionych.

— Prócz tego za olejki nie zapłaciłam kupcom syryjskim. Mąż, srogi tyran, pletniami obije to ciało, które pieścisz...

— Ile? — szepnął drżący Uwehu, troskliwie patrząc po jej ciele, jakgdyby już razy istotnie padły.

— Bagatelka. Coś dwa talenty...

— To i te dwa zatrzymaj z przywiezionych.

— Kapłan boga Rammana ma mi przywieźć talizman, który sprawi, że kto mnie kocha, będzie mi wierny.

— Ile żąda za to?

— Niewiele. Talent jeden...

— To weź ten ostatni także...

Ajaba przysunęła twarz do twarzy Uwehu i rzekła mu usta na usta:

— Jabitiri, jesteś doprawdy wielki wojownik!

— Opuść szatę z ramion, kochana!

— Tłumno tu...

— Niech świat klęka i podnosi ręce, gdy Jabitiri kocha. Zresztą — patrz!

Spojrzeli dokoła. Tancerki znikły. Muzykanci znikli; tylko czarowna muzyka płynęła z za ścian, z nad powały, z pod podłogi. Rzędem wszystkim

Chabiri opadły głowy na piersi i słychać było głośne chrapanie.

Światełka konały w lampkach. Z powały zaczęły padać na nich kwiaty.

— Opuść szatę, piękna Ajabo!

— Kochasz mnie?

— Kocham cię!

. . . .

Po godzinie Uwehu leżał doszczętnie spity. Wezgłowie razem z nim nakryto oponą i wyniesiono do izbicy przyległej. Służba zamiatała miotłami podłogę, wynosiła dzbany, misy i wszelkie czyniła porządki.

Drugiego dnia około południa Ajaba dosiadła wielbłąda i wraz z orszakiem skierowała się do wschodniej bramy.

Ale Chabiri zastąpili jej drogę.

— Jakże to, odjeżdżasz? A za naszą pomoc?

— Przysięgaliście się nic nie brać.

— Myśmy tyle wina dali, myśmy tyle wołów i baranów dali, myśmy tyle olejków dali!

— Ile żądacie?

— Jakże tu nie żądać dużo, gdy się taką usługę wyświadczyło!

— Ile? Nie gadajcie długo.

— O, przynajmniej pięć talentów!

— Głupcy jesteście, jeżeli mniemacie, że wam dam!

— To wracaj i czekaj, aż Uwehu wytrzeźwieje.

— Dam wam cały talent.

— Byłabyś musiała zapłacić trzydzieści!

— A wam co do tego!

— Jakto, co do tego? Wszakże żądałaś naszego współdziałania!

— Ja mu zapłaciłam wszystko!

— Nieprawda!

— Miłością mu zapłaciłam...

— Toteż myśmy ci do tego zapłacenia pomogli. A jak chrapaliśmy na zawołanie!

— Głupcy z was, drugi raz to wam mówię. Zamek jest rozległy.

— Hi, hi, hi. To go nie znasz! On chce, żeby cały świat wtedy klękał przed jego wezgłowiem, jak przed kamieniem ofiarnym...

— Szelmy jesteście i rozbójnicy, dlatego wam daję trzy talenty i nie targuję się!

— Pięć talentów i ani słowa.

— Hej, pachoły, dzidy zniżyć!

— Hej, rodacy, budzić Uwehu!

— Ile chcecie?

— Okrągłe pięć talentów. Inaczej będziemy stratni. Myśmy tobie szczerze dopomogli. To i tak mało. Wy zatrzymujecie dwadzieścia pięć talentów a my za pomoc pięć. Czego chcesz!

Ajaba była wściekła. Kazała dwa muły juczne oddzielić od orszaku.

— Bierzcie je sobie! — krzyknęła.

Chabiri chwycili muły za uzdy, Ajaba zaś krzyknęła na swój orszak:

— W drogę!

Wielbłądy ruszyły ku bramie.

. . . .

A Uwehu spał.

Spał do wieczora, przez całą noc i jeszcze dzień następny do południa. Potem bardzo długo się budził. Dopiero pod wieczór kazał przyzwać do siebie Biszimi i spytał go:

— Kto jeszcze zalega podatek?

— Mesztu winien talentów dwadzieścia.

— Dlaczego nie płaci?

— Owszem. Chce żonę swoją przysłać.

Uwehu zerwał się i począł trząść rękami.

— Nie chcę, nie chcę, niech sam przyjeżdża! Chuen-Aten cierpliwy do czasu.

— A przytem trzeba mu posłać pięć talentów...

— Jakie pięć talentów?

— Według cegły Hazor ostatecznie pięć talentów zapłacił.

Uwehu spochmurniał.

— Ile mamy w skarbcu?

— Nic nie mamy.

Uwehu chrząknął, kazał podać sobie dzban wina, napił się i pytał dalej:

— Kto jeszcze winien?

— Winien Ain-Anab talentów piętnaście. Winni

po talentów dziesięć Zimrida, Abd-Aszera, Adad-Nirari...

— Napisz im, że każdemu z nich łeb utnę, jeżeli mi będzie przez żonę odsyłał podatek.

— Zaraz napiszę.

Uwehu wychylił pół dzbana a Biszimi na surowej cegiełce babilońskiej wyciskał rylcem kliny.

Tymczasem przyniesiono świeży dzban. Uwehu nadpił, znacznie się orzeźwił i rzekł nagle do swego pisarza:

— Zdaje się, że ten Abd-Aszera niedawno nową pojął małżonkę?

— Tak jest. Córkę Adad-Nirari.

— Podobno piękna jest?

— Tak powiadają Chabiri.

Uwehu znowu ujął dzban, popił, jeszcze się bardziej orzeźwił i w końcu rzekł do Biszimi:

— Temu Abd-Aszera napisz, ale jemu jednemu, że jeśli jest bardzo zajęty, to ostatecznie może podatek przysłać przez kogoś zaufanego.

— Naprzykład, przez... przez...

— Tak... Naprzykład... przez żonę...



ASZUR-IDIL-ILI-UKINNI.

Nad wodami Wielki Zab widnieje Kalhu, miasto wszelakiego zepsucia, o którem jest powiedziane: »Zginiesz i nic po tobie nie zostanie!«

Niewiasty są tam piękne a mężczyźni noszą nagolenice i łańcuszki i bramki i letniki.

Nie masz tam cnoty, albowiem wytępiona została. Nie masz tam poczciwości, albowiem Babilon i Niniwe są przy niem jako dziewice czyste.

Jest to miasto szat odmiennych, rantuszków, szpilek, zwierciadełek i rąbeczków a także wonności i włosów kędzierzawych. Bogiem jest tu Adramelech i Nannar i Malik-Moloch a boginiami Asztoret, Anu, Anunit. A także czczone są wszystkie gwiazdy.

Osłabło ramię wojownika, miecza się nie ima, ślepe jest oko na dni przyszłe. Przeto wszelki wróg cieszy się a kuje ostrza do swoich strzał

i kamienie dobiera do kusz, któremi oblega się miasta.

Biada ci Kalhu! Biada wszystkim miastom tobie podwładnym! Już chodzą po nich wróżkowie w włosiennicy, żywiący się dzikim miodem i szarańczą. Chodzą i zagładę tobie, kraju upadły, zwiastują.

Winni są mężowie i winne są niewiasty, winni są wszyscy i winien jest każdy a najbardziej zawinił sam król, który się zwie Aszur-Idil-Ili-Ukinni, albowiem nie masz nieprawości, którejby nie popełnił i bardzo się z niej nie cieszył.

. . . .

Nad wodami wielki Zab wznosi się rozległy pałac króla a jest on jako osobne miasto i osobny kraj palm, cedrów, cyprysów, róż i lotosu.

Są to i góry i doliny i groty i jeziora a także tryskające wodnice.

Kraj ten nie stoi uczciwie na ziemi rodzącej, bo nią wzgardził i podeptał jej porządki. Kraj ten dźwignął się w obłoki jak wieża Beela i powiedział: Tam będę!

Oto mur na trzydzieści łokci wysoki a mający obwodu dwie godziny. Na tym murze wiszące ogrody a w nich wieczna uciecha i trącanie strun. W ogrodach pałace i lwy o rozdziawionych paszczach, woły skrzydlate o ludzkiem obliczu i wszelki wizerunek wszeteczny.

Na tym murze świątynie Adramelecha i Nan-

nara i Malik-Molocha i Asztoret i Anu i Anunit. A w pośrodku tych świątyń, niby w kole tańczących nierządnic pijany ich oblubieniec, stoi pałac królewski.

Tam córki ludzkie chodzą wyciągnąwszy szyje i pomrugując oczyma, chodzą postawnym krokiem w pierścionkach i drogich kamieniach na czole wiszących. Tam piszczałki grają i brząkadełka brzęczą, tam leje się sok winnej macicy i ustawiczne pląsy i ustawiczny grzech.

A mężowie w miękkich szatach i włosach zawijanych spoczywają na wezgłowiach purpurowych, dzbana z ręki nie puszczają, jeno mówią: »Pij, duszo moja a używaj! Albowiem tyle jest twego i nic więcej!«

Tam mężowie wymyślają codzień nowe wszeteczeństwo a który powie: »Oto wymyśliłem takie, jakiego nikt nie znał«, temu król oddaje w zarząd osobną prowincję.

A gdy niewiasta która powie: »Oto obmyśliłam nową roskosz, jakiej mężowi żadna niewiasta dotąd nie dała«, to król bierze ją do siebie a bogactwy zasypuje.

Bo śród onego zepsucia król chodzi jako skrzętny ogrodnik nieprawości a patrzy, żeby jeno które zło nie uwiędło. Chodzi jako pasterz szakali i dozorca synogarlic, jako ten, który hoduje tygrysy i lwy bacząc, aby każdy zwierz miał co pożreć a splugawić.

Przeto on jest zaprawdę najbardziej winą obarczony i paść musi jego królestwo.

Niekiedy nocą one ogrody wysoko nad ziemią wiszące są jako czarodziejskie zjawienie piekła, tajemniczych ogników, pląsów i śpiewania. I wysoko są postawione, aby je każdy widział i aby ich śpiew każdy słyszał.

Aby cała ziemia mówiła sobie: »Oto tam dzieje się to wszystko!«

. . . .

Król miał małżonkę Nanę. Ale prędko ją sobie uprzykrzył i zamknął w lewem skrzydle pałacu.

Potem wziął do siebie Ramę, niewiastę bardzo piękną i bardzo sprośną. Ale i tę sobie niebawem uprzykrzył.

Potem wziął Laisę i Galim, ale je oddalił. Wziął także Ajatę, Anatot i Liję, ale się długo niemi nie bawił.

Brał jeszcze wiele innych, aż powiedział sobie: Nic to jest!

Uprzykrzyła mu się niewiasta ziemska i zapragnął miłości z boginią.

Udał się tedy do świątyni Asztoret i bardzo gorąco polecał się tej szatańskiej bogini, aby wejrzała na jego miłość i nawiedziła go.

Odbył też z kapłanami narady, ale oni dawali mu odpowiedzi dwuznaczne.

Tedy król wielce się martwił, bardzo zmizer-

niał a także schudł. I dwór niepokoił się o niego a postanowił ratować go.

Więc próbowała go ratować bardzo piękna żona Nimruda, dowódcy wszystkich wojsk królewskich. Ale nie pocieszyła go.

Potem próbowała go ratować małżonka Sandana, pierwszego pechata; ale król powiedział jej: »Idź odemnie!«

I jeszcze próbowała go ratować małżonka pechata Nissi, który był przełożonym nad skarbcem królewskim. Ale król się rozgniewał na nią i powiedział jej: »Obrzydliwością mi jesteś!«

Tedy już żadna więcej nie próbowała go ratować i zdawało się, że król jest zgubiony.

Ale w on czas była na dworze Taasmit, wielka śpiewaczka, kobieta nadobnego oblicza, która umiała czynić czary i wykładać sny.

Arpę miała w złoty róg zgiętą i strun na niej wiele, przy której, gdy śpiewała, ptaszkowie milkli na drzewach a szczygiełkowie byli zasłuchani.

Gdy Taasmit przechodziła, każdy stawał i mówił: »Dziwna jest!« A niewiasty bały się jej.

Ale ona nigdy nikogo nie urzekła, nigdy nikomu krzywdy nie wyrządziła, a także o niczyją miłość się nie starała, albowiem mówiła: »Poświęciłam się Asztoret. Ta mi powie — kiedy«.

Kapłani mieli ją w wielkiem poszanowaniu i głosili, że Asztoret bardzo ją sobie upodobała.

Tedy nocy pewnej, gdy niebo było zasypane

gwiazdami a król w samotności bardzo wzdychał, stanęła przed nim Taasmit i spytała się go:

— Jak się nazywają twoje tęsknoty?

A król myśląc, iż chce go kusić, bardzo się rozgniewał i kazał jej odejść.

Ona jednak nie odeszła, jeno rzekła:

— Nie sądź, iżbym chciała miłości od ciebie i swoją miłość tobie dawać. A także nie chcę innej stręczyć ci miłości, albowiem to wszystko marność jest wielka.

Tedy król wielce się zadziwił i powiedział:

— Mowa twoja inną jest całkiem, niż mowa wszystkich pałacowych niewiast. Dlatego nie odchodź, jeno powiedz, z czem przyszłaś.

A ona powtórzyła pierwsze swoje zapytanie, mówiąc:

— Jak się nazywają twoje tęsknoty, biedny królu?

Więc król bardzo się rozrzewnił, ucapił się obu rękami za szatę i jął szeptać bardzo namiętnie:

— Tęsknoty moje nazywają się wielkie nieszczęście! Tęsknoty moje nazywają się klęska! Tęsknoty moje nazywają się nienasycenie nigdy!

W ten sposób żalił się długo a potem wybuchnął:

— Oto w bogini rozkochany jestem!

Taasmit bardzo spoważniała i rzekła:

— Wymów imię tej bogini.

Król obejrzał się na wszystkie strony a potem twarz do jej twarzy przybliżył, rzekłszy cicho ale bardzo gorąco:

— Asztoret!

I jakgdyby imię to zapaliło w nim wszystkie pożary, szeptał dalej:

— Oto imię tej którą ukochałem! Schnę z tęsknoty i żądzy niezaspokojonej! Ramieniem mojem obejmowałem wszystkie niewiasty ziemi, bogini jeszcze nie miałem!

Zamilkł na chwilę, tchu zaczerpnął, obrócił oczy w gwiazdy i tak szeptał:

— Wszystkie bogactwa oddam, wszystkie miasta odstąpię, władzy się zrzeknę za jedną chwilę upojenia. Jeżeli Asztoret chce, abym sobie kupił jej miłość złożeniem na stosie ofiarnym całego mego królestwa i wszystkich moich poddanych, oto ułożę ten stos, oto uwiążę na nim wszystkich ludzi mego królestwa, zapalę i będę tańczył śpiewając: Przyjdź teraz Asztoret!

Drżał na całem ciele, pomilczał chwilę i dalej mówił:

— Nie jest podły mój ród, ale się z Aszura wywodzi, boga miasta Aszur. Asztoret była w związkach z wszystkimi bogami. Tedy jestem jako jej krewniak, z którym może się połączyć. Ale wiem, zazdrosny jest Baal-Zebub. On przeszkadza.

Tu bardzo się zasępił i mówił dalej:

— Baal-Zebubowi wystawię świątynię bardzo piękną i osobnych kapłanów mu wyznaczę. Powinien być zadowolony.

Ściągnął brwi, jako kruk ściąga skrzydła swoje, i mówił:

— Zresztą gdyby Asztoret tylko chciała, mógłby Baal-Zebub o niczem nie wiedzieć. Ale ona nie chce...

I znowu rozwinął brwi, jako kruk skrzydła, gdy sposobi się do lotu, spojrzał na niebo usypane gwiazdami i począł jęczeć:

— O Asztoret, jakżeś jest okrutna! O bogini szczęśliwości, żali nie słyszysz moich wzdychań? O ramiona moje jakże wam sięgnąć daleko do tej, która tam jest! Każda góra pnie się w niebo i mówi: tam chcę! Każde drzewo podnosi swój czub w błękitne utwierdzenie, szemrząc liściem: oto ku wyżynom rośnij mój wzroście! I ja tedy jako góra i jako drzewo wyciągam ramiona moje z ziemi ku błękitnemu utwierdzeniu a szmer idzie z ust moich, który mówi: Asztoret, Asztoret!

Zamilkł i bardzo kiwał obliczem swojem na znak: Oto mi!

A wtedy Taasmit, zbliżywszy bardzo twarz swoją do jego oblicza, szepnęła szeptem cichym:

— Będziesz miał boginię w objęciu swojem!

Król żachnął się w tył a bardzo się przestraszył.

Spojrzał jej w oczy. Ale ona mierzyła go wzrokiem bardzo spokojnym i bardzo poważnym.

Król zawahał się.

Potem przezornie spojrzał dokoła siebie, przystąpił do niej i zapytał:

— Jako to mówisz?

A ona rzekła:

— Idź do pałacu i przyoblecz szaty złotolite i kołpak złotolity i postoły złotolite. Na pierś weźmiesz oto ten posążek Asztoret, który ci tu daję. Także myjąc oblicze siedm razy zmienisz wodę, za każdym razem szepcąc w myśli: Asztoret. Potem namaścisz się siedmiu wonnościami i przy każdem namaszczeniu szepniesz w myśli: Asztoret. Potem obrócisz się w siedm stron świata, które są: południe, północ, zachód i wschód, góra i dół a ostatnia strona wewnątrz ciebie samego. I za każdym razem szepniesz w myśli: O Asztoret! Albowiem liczba jej jest siedm. Potem okręcisz się naokół siebie siedm razy a za każdym razem szepniesz: Asztoret! Tedy pójdziesz na krawędź ogrodów wiszących, gdzie będę ciebie oczekiwała.

Król był bardzo wzruszony. Ona znikła za drzewami figowemi a on, jeszcze chwilę na nią patrząc, oddalił się szybko w stronę pałacu, aby poczynić one przygotowania.

. . . .

Kiedy stanął w swej gotowalni, inną całkiem mu się wydała.

Oddalił sługi a sam się ubierał.

Oto nalał wody na złotą miednicę. A gdy odstawił dzban, zakrył oblicze rękami i zapłakał. A w myślach swoich szepnął bardzo gorąco:

— O Asztoret!

I umył się raz. Potem zlał wodę i uczynił tak siedm razy.

Następnie dobył siedm rodzajów wonnych olejków.

Kiedy odemknął pierwszą amforę, chwycił się za pierś a w myślach szepnął bardzo namiętnie:

— O Asztoret!

I namaścił się. Tak uczynił siedm razy. I wtedy zdało mu się, że jakieś nieznane siły wstąpiły w niego i mówiły mu: »Nie z ziemi jesteś!«

Tedy klasnął na swoje balwierze a te utrefiły mu włosy i brodę w rurki, pętliki, rurki i znowu pętliki, aż do końca długiej brody i długich włosów.

Następnie balwierze odeszły a król pozostał sam.

Stanął przed złotymi postołami i westchnął:

— Asztoret!

Wdział postoły. I uczyniło mu się lekko, jakby go skrzydła jakieś unosiły z ziemi.

Stanął przed złotolitą szatą i bardzo gorąco wymówił w myślach swoich:

— O Asztoret, Asztoret!

Wdział szatę. Natychmiast uczuł dziwną błogość i lekkość nadzwyczajną.

Tedy założył sobie na piersi posążek Asztoret i westchnął jej imieniem. A uczuł się jako oblubieniec tej, za którą tak długo wzdychał.

Wdział jeszcze złotolity kołpak, westchnąwszy »Asztoret« i już był przybrany.

Cała ziemskość znikła wtedy z jego oczu i był jako Malik-Moloch albo Nannar albo Adramelech albo sam Baal-Zebub.

Tedy obrócił się w siedm stron świata i wymówił w myślach swoich siedm razy ukochane imię.

I zdało mu się, że wzięły go jakieś skrzydła na siebie a poniosły.

Nie wiedział, jak opuścił gotowalnię, jak mijał kolumny przedsionków, jak zszedł z tarasów pałacu. Ujrzał tylko na niebie dziwnie jasno pałającą gwiazdę Kewan, która mu mrugała: Oto szczęście twoje bliskie jest!

Nie wiedział, jak sunął przez ogrody, przez wszystkie gaje i wąwozy, mimo tryskających wodnic i lwów z rozdziawionemi paszczękami a także mimo wołów skrzydlatych, oblicze ludzkie mających.

A te lwy szeptały za nim: »Idź, idź!« A te woły skrzydlate obracały za nim oblicza ludzkie i powiadały: »Podążaj!« On tego wszystkiego ani widział, ani słyszał, jeno potem, idąc, przypominał sobie.

Drzewa w tem miejscu tworzyły gęstwę oliwek, fig, cyprysów, tamarysków, kaktusów, niby ścianę tajemniczą, pełną dziwnego brzęczenia owadów, pełną ogników ślepia ich, pełną tajemniczego poszeptu.

Minął tę gęstwę i oto otworzył mu się widok na wielkie przestwory nieba.

Wszystkie gwiazdy dygotały na niebie jako oczy bogów i bogiń. Stanął u krawędzi wiszących ogrodów a przed nim była dal niezmierzona.

Ujrzał hebanowe krzesło swoje. Siadł tedy na niem i przechylił głowę w tył, marzeniom się oddając.

Wtedy około niego stanęła Taasmit, cała naga w swej piękności, tylko złotolitymi paskami przepasana w biodrach, w piersiach i na głowie; a także miała ciężkie złote okowy na nogach, rękach i szyi.

W powietrzu było ciepłe tchnienie i nadzwyczajna woń.

Taasmit trzymała przed sobą harpę w złoty łuk zgiętą.

Lekki szelest poszedł po ścianie cyprysów i rododendronów a Taasmit trąciła struny harpy.

Zrazu było to niby plusk kamyków, padających do topieli. A potem jako szumienie wodnicy, która jęczy i śpiewa tryskającemi kropelkami.

Król zapamiętał się.

W tej chwili Taasmit poczęła śpiewać. A śpiew jej był zrazu głęboki jako śpiew Adysynowy, z przepaści morskich płynący.

Zaczyna dopiero. Ale już postać jej wygięła się łagodnie w łuk harpy, która ma wiele strun.

I z tej harpy ludzkiej wybiegł w przestwory głos najpierw wielkiej tęsknoty i wielkiego pożądania.

Król ucapił się za poręcze hebanowego krze-

sła i dygotał, albowiem śpiew ten wyśpiewał najczulsze jego tęsknoty i najbardziej żrące jego pożądania.

Taasmit śpiewa dalej. Teraz z piersi jej wybiegł śpiew gonienia za szczęściem i chwytania go. A król wyciągnął ramiona w przestrzeń modrą i tak myślą gonił szczęście, jak śpiew ów je chwytał.

Taasmit zaczęła śpiewem błagać. A w błaganiu tem były wszystkie zaklęcia, wszystkie drżenia, wszystkie lęki i domagania się. Król był jakby w zachwyceniu a oblicze jego wyrażało jedno: »Usłysz a przyjdź!«

Tedy u samego utwierdzenia niebieskiego w górze odezwały się ciche szelesty i coś kłoniło się w dół, jedno za drugiem, prawie niewidzialne.

Aż na kolana króla jęły padać wielkie, wonne, czerwone kwiaty, które się zowią Kwiaty Asztoret.

Sypały mu się na kołpak, na ramiona, padały na kolana i postoły a także ze wszystkich stron krzesła hebanowego.

Król odemknął usta, rozchylił ramiona i głos zaświatowego zachwytu ział z jego piersi. Oczy stanęły mu słupem, oblicze przemieniło się a wtedy Taasmit największy głos dobyła z siebie.

I oto w śpiewie jej była najpierw żądza, potem szczęście nieprzebrane, potem drganie miłosne, zupełne zapomnienie się i spazm.

Król czuł, że jakaś niewidzialna postać na si-

nym obłoku opuszcza się do niego. Czuł ciepło jej piersi i dotknięcie jej ramion a nic nie widział. Opadł całkiem na poręcze krzesła hebanowego, oko jego stało się mgliste a w tej chwili w śpiewie Taasmit zjawiła się omdlałość, upojenie.

Taasmit, Taasmit! Czarodziejski śpiew twój! Bogini Asztoret wysłuchała go i oto obliczem swojem nachyliła się do oblicza królewskiego, ramiona swoje złączyła z królewskiemi ramionami, niepodobieństwo stało się rzeczywistością a dokoła świadczą owe czerwone, wielkie, licznie z utwierdzenia niebieskiego opadłe kwiaty, które się zowią: Kwiaty Asztoret!

. . . .

Wtem z dołu odezwał się głos jako wiatr puszczy albo odległe grzmienie.

Król drgnął a widzenie uleciało. Zamilkł też śpiew Taasmit i uczyniła się złowroga cisza.

Teraz w dole u podnóża muru błysnęła czerwień. Król zbierając rozszalałe myśli, przechylił się jak nieprzytomny za krawędź muru i spojrzał. Przechyliła się także Taasmit i również spojrzała.

Oto stało tam dwóch ludzi z pochodniami w ręku a między nimi stał trzeci, cały oświecony czerwienią pochodni.

Stał w włosiennicy. Nogi i ramiona miał barwy miedzi a bardzo zawiędłe. Włos na głowie rozwiany a nigdy nie czesany, także włos brody długiej zwichrzony.

Cały był zaś brudem porosły. Kurz pustyni i kurz utrapienia był na nim, że wyglądał przerażająco. Unosił ręce w górę ku krawędzi wysoko wydźwigniętych ogrodów wiszących, gdzie chylił się król i Taasmit, a wołał głosem sądu:

»Kalhu, miasto wszeteczności, chwieją się mury twoje!

»Wiszące ogrody króla nieprawości, oto idzie burza, która was zmiecie z powierzchni ziemi!

»Rzekł Pan: onego dnia odejmę im ozdobę knaflików i przedzielnic a miasto powrózek złotych i koszulek lnianych przywdzieją włosiennice, miasto kędzierzawych włosów będą łysiny a miasto woni smród wielki!

»Królu, który dzierżysz berło zła a rządzisz państwem siedmiu wszeteczności! Niedość ci było niewiast ziemskich? Niedość ci było córek ludzkich, żeś bogini zapragnął?

»Ale ta bogini boginią nie jest, jeno djablicą bardzo paskudną. I bogów nie masz w jej niebie, tylko duchy podłe!

»Zginiesz, królu! Psi będą włóczyli twoje ciało po drogach żwirem kaleczącym obsypanych a ostrymi głazami. Wszyscy nieprzyjaciele twoi bardzo radować się będą i rozbiorą między siebie królestwo twoje!«

Tak wołał z dołu ku wiszącym ogrodom ów mąż dziki, brudny a straszny, czerwonością pochodni przeraźliwie oświecony.

Król siedząc na krześle hebanowem w tył się rzucił a krzyknął okropnie. Spojrzał dokoła a znikły wszędzie czerwone, wielkie kwiaty Asztoret.

Taasmit drżała i jęk miasto śpiewu dobywał się z jej piersi. Król, niby całkiem nieprzytomny, jął wołać pomocy.

Tedy uczynił się wielki popłoch w ogrodach. Zewsząd nadbiegali dostojnicy, wodzowie i kapłani. Nadbiegały też niewiasty pałacowe i tanecznice a wszystkie w swoich ubiorach lekkich a bardzo przejrzystych.

I oto na całej krawędzi muru wiszących ogrodów chylił się dwór i w dół poglądał. Uczyniła się cisza a z głębi brzmiał dalej ów głos, jako wiatr pustyni, albo grzmienie odległe:

»Biada wam, ogrody wiszące, ogrody wszeteczności i grzechu wszelakiego!

»Tak mówi Pan: co piękniejsi mężowie od miecza polegną a mocarze twoi w bitwie krwawej!

»Biada wam, niewiasty rozpustne, co nosicie manele i beretki, bo oto dni noszenia maneli i beretek już są policzone!

»Cytra i lutnia i bęben i piszczałka na biesiadach waszych a wino leje się jako wody rzeki Wielki Zab!

»Biada wam, którzy wstajecie, rano, abyście się opilstwem bawili i pili aż do wieczora, aby wino was rozpaliło!

»Biada wam, albowiem mówi Pan: W uszach moich już to jest!

»Cytra będzie połamana i bębenek przedziurawiony a piszczałki z rąk wypadną!

»A jako pożera język ogniowy paździerze, tak korzeń ich będzie jako perz a płód ich jako dym ku górze pójdzie!

»Biada ci, królu, żeś zapalczywość Pańską na siebie obrócił. Ryk jego gniewu jest jako ryk lwa. Z powrozem u szyi pójdziesz w obce kraje służyć nieprzyjaciołom twoim!

»I wam biada, królewscy zausznicy! Albowiem wzruszą się z obrzydzenia góry i was przywalą a trupy wasze będą jako gnój po ulicach!«

Tak wiał z dołu ów głos pokutnika, niby wicher pustyni, piaski zmiatający, niby grzmienie gromu, który wie, gdzie będzie pożar.

I wołał jeszcze długo dziki ten mąż, stojący w dole z podniesionemi rękami ku wiszącym ogrodom, albowiem przerażenie obezwładniło dwór, dostojników, kapłanów, niewiasty a przedewszystkiem samego króla, który czuł, że zmysły mu się mieszają.

Ale pierwsza Taasmit krzyknęła z krawędzi muru w dół:

— Zamilknij, puszczyku!

I natychmiast dostojnicy zawołali rzędem po całej natłoczonej krawędzi:

— Ująć go a wbić na pal!

Uczynił się wielki zamęt. Niektóre niewiasty płakały i mdlały, drugie dostały jakoby pomieszania a mężowie drżeli na całem ciele i byli wielce oburzeni.

W dali słychać było już łoskot odmykanych wierzei i tupot biegnących straży.

I oto znowu wszyscy spojrzeli w dół.

Z odległej bramy w murze wychylił się oddział jako łeb potwornego węża, który błyska ślepiami licznemi. Tak błyskały włócznie w dół pochylone lecącego oddziału.

Teraz wąż całą długością swoją wychynął z bramy i pędził wzdłuż muru ku onym świecącym czerwono pochodniom.

Kurz wzniósł się z pod stóp biegnących żołnierzy. I zdało się, że to potworny smok bucha dymem.

Z wielkim tupotem w ciszy nocnej pędził on oddział. Ale pokutnik stał nieporuszony, ciągle miał ręce wzniesione i ciągle wołał w górę swoje okropne proroctwo.

I stali także nieporuszeni jego dwaj pomocnicy, pochodnie dzierżący.

Straż nadbiegłszy, nadziała na włócznie onych dwóch ludzi, że pochodnie padły z ich rąk w proch ulicy i ćmiły się tam leniwie.

Z góry zaś wołano:

— Żywcem brać trzeciego!

Przeto go pojmali, obalili, związali mu nogi

i powróz do nich przyczepiwszy, powlekli za sobą z powrotem do onej bramy. A on wcale się im nie bronił.

Skoro tylko w bramie znikli, natychmiast cały dwór rzucił się od krawędzi murów i biegł przez ogrody w stronę pałacu, naprzeciw przybywającej straży i onego wleczonego wróżka.

. . . .

W lewem skrzydle pałacu mieszka królowa Nana z siedmioletnim synkiem Binnirarem i ośmioletnią córką Sammuramat. Strzeże jej z rozkazu króla eunuch Rabzarys, którego oblicze wyraża zawsze jedno: tępość i srogość.

Zresztą jest jeszcze przy królowej kilka służebnic a nikogo więcej. Dwór nie dba o łaski tej, która sama z łaski wypadła.

Nana pragnęła wrócić do rodzica swego, władcy ziemi Synnear. Ale król zabronił, albowiem musiałby odesłać razem z nią skarby jej; a nie chciał.

Nana pędzi dni w ustawicznym lęku. Albowiem słyszy: »Oto król polubił Ramę«. I znowu: »Oto Rama będzie królową i jej potomstwo obejmie dziedzictwo po królu a potomstwo Nany będzie zgładzone«.

Tedy stracha się, tuli dzieciny a wciąż pogląda ku drzwiom, czy nie idą siepacze.

Ale mijają czasy Ramy i znowu słyszy: »Oto Laisa teraz królewską oblubienicą«. I dalej: »Oto

dzieci Laisy tron posiędą a dzieci Nany pójdą pod miecz«.

Nowe dni trwogi i wyczekiwania siepaczy. Aż mijają czasy Laisy i oto słyszy: »Król pokochał Galim i państwo między jej dzieci rozdzieli a Binnirar i Sammuramat zostaną poświęcone Malik - Molochowi«.

Mijają czasy Galim, nastają czasy Ajaty. Mijają czasy Ajaty, nastają czasy Liji. Ale nigdy nie mijają dla Nany czasy lęku i okropnej trwogi a zaprawdę gwałtowna śmierć byłaby dla niej mniej straszną, niż to przymieranie z dnia na dzień przez kilka lat.

Pewnej nocy zbudził ją niezwykły gwar. Zatrwożonem uchem rozpoznała bieganie straży i szczęk, jaki czyni oręż wojowników. Już sądziła, że nadeszła chwila ostatnia i jej i dzieci. Ale niebawem gwar ustał i zapanowała głucha cisza.

Nana dowiedziała się przez służebnice, że pojmano jakiegoś wróżka i że miano go wbić na pal. Król jednak odłożył kaźń do jutra. Osadzono go tedy w pobliskiej baszcie. Ale niekiedy ukazuje się w zakratowanem okienku, zbity i okrwawiony, a ciska okropne proroctwa.

Nanę zdjęła wielka litość dla onego wróżka. Tedy posłała służebnice, aby podsłuchały, co też mówi i aby jej to doniosły.

Służebnice powróciły wystraszone i powiadały, że wróżek głosi zagładę miasta, dworu i królestwa z powodu popełnionych wszeteczeństw.

Tedy Nana jeszcze bardziej się zaciekawiła i znowu wysłała służebnice, aby wysłuchały jego proroctw.

One poszły i wróciły jeszcze bardziej wylęknione. Albowiem wróżek głosił, że królowi nie wystarczyły córki ziemskie i targnął się na boginię.

Nana skamieniała.

Jaką boginię? Którą boginię? Żali możebne, aby król to uczynił?

Opamiętawszy się nieco Nana westchnęła do Asztoret, której opiece zawsze gorąco polecała siebie i dzieci, jako że była boginią miłości, a następnie postanowiła sama iść pod oną basztę i posłuchać proroctw dziwnego wróżka.

Ale Rabzarys nie pozwolił. Siadł w progu i zakazał jej ruszać się gdziekolwiek. Gdy go bardzo prosiła i zaklinała, nie zwracał wcale uwagi na jej słowa.

Tedy Nana położyła się na łoże i udała, że śpi. Ogarniał ją coraz większy niepokój a także pragnienie ujrzenia strasznego wróżka.

Odemknęła oczy i spojrzała w stronę progu. Rabzarys siedział z głową o ścianę opartą a usta miał odemknięte. Tedy wiedziała, że już usnął.

Więc wstała ostrożnie z posłania, sunęła ku drzwiom bez szelestu najmniejszego, minęła eunucha i znalazła się w przedsionku.

Było tam całkiem pusto. Niebawem wydostała się między kolumny i oto owiał ją chłód nocy.

Już ujrzała niebo i gwiazdy. Bóg Sin ze szczytu modrego utwierdzenia patrzył właśnie w dół i zielone oczy swoje skierował na piaskowiec baszty. Nana ujrzała nisko będące małe zakratowane okienko.

Nagle też wysunęły się stamtąd dwie ręce czarne, chude, niby szpony sępa. A zaraz potem ukazała się za kratą twarz sroga, krwią oblepiona, o włosie dziko zwichrzonym.

I odezwał się głos podobny do wiatru pustynnego, który wśród ciszy nocnej złowrogo odbijał się o mury:

»Tyś jest królowa, małżonka tego, nad którym rękę swoją wyciągnął Pan!

»Tyś jest, którą król wzgardził razem z potomstwem a odsunął od siebie. Tedy powiedział Pan: niech tak będzie!

»I powiedział jeszcze: Skoro dzieliła z nim łoże, pohańbioną jest i skażoną. Niczem będą mi jej wzdychania i żale i rozterki.

»Przyjdź dniu mój pełen rozgniewania i zapalczywości, abyś ziemię ich obrócił w pustynię a grzeszniki jej starł z niej!«

Nana drżała, tuliła się do zimnej kolumny i starała się ukryć w jej cieniu. A wróżek wołał dalej:

»Uprzykrzył sobie król córki ludzkie a bogini zapragnął, aby chuciom jego służyła.

»I przyszła do niego w noc miesięczną córka

otchłani, djablica najsroższa z wszystkich, jakie nawiedzają ziemie Aszura i Mucura.

»Przyszła Asztoret, łaknąca krwi i wszelkich żądz, obłapiła go swemi rękami i on ją obłapił.

»Wstrząśnijcie się góry, rzeki obróćcie się wstecz, albowiem dopełniła się miara!«

Nana z okropnym krzykiem uciekła w głąb kolumnowego przedsionka, ale tam potknęła się i padła zemdlona.

Nadbiegła służba, nadbiegł też Rabzarys i odniesiono królowę do jej łożnicy.

. . . .

Myśli Nany były jako wystraszone z gołębnika stado gołębi, które krążą dokoła i nie mają gdzie wrócić, albowiem do ich mieszkania wtargnęła łasica i pożera je po kolei.

Wszelkie nadzieje jej były teraz podeptane. Oto sama bogini Asztoret przeciwko niej jest i powiada: zejdź mi z drogi razem z potomstwem twojem, bo oto ja tą drogą stąpam, ty zaś jesteś córką człowieka a ja panią przestworów.

Była Rama, była Laisa i Lija. Ale teraz ja jestem. Łono moje jest płodne i wyda na świat potomstwo, któremu ustąpić musi potomstwo córki ludzkiej.

Był żal, była skarga, była duma urażona, ale to wszystko z powodu wszetecznych niewiast a niestałości królewskiej. Ale teraz musi być ukorzenie,

musi być uległość i świątobliwy posłuch, albowiem bogini wystąpiła i powiada: ja biorę twoją część!

O Asztoret, Asztoret! Jakże jesteś okrutną i nieubłaganą!

Ile nocnych wzdychań płynęło ku tobie z piersi ufnej! Ile nadziei było, że opieka twoja wierna a niezawodna!

Lęk nabożny ogarnął Nanę i oto zdało się jej, że leci w jakąś otchłań bez dna, w nieprzebrany mrok. A razem z nią spada Binnirar i Sammuramat, rączyny wyciągają ku matce a wołają: ratuj!

Niema dla nich ratunku żadnego. Spaść wam w ten mrok nieprzebrany, w tę otchłań razem z matką, bo tak chce bogini.

Król był grzeszny, dopóki brał córki ziemskie. Ale gdy wybrał Asztoret i ona na niego obróciła oblicze łaskawe, tedy wszystko skończone i nie wolno burzyć się, ani szemrać, ani miotać.

Nana całkiem zakrzepła w bólu i rozpaczy.

Ale gdy gwiazda Dilbat zwiastowała bliski poranek, powstała z łoża. A miała oblicze posępne i wyryte w niem postanowienie.

Wszelako nim cokolwiek uczyniła, wzięła maleńki posążek Asztoret i posłała go królowi.

Nie czekała długo. Król przysłał jej wzajem niewielkie puzderko. Gdy je otworzyła, ujrzała w niem maleńką amforę, na której był wizerunek aspidy, węża jadowitego.

Tedy królowa zrozumiała. Ale cisnęła amforę o kamienie posadzki, że się rozprysła na kawałki i ciecz z niej wyciekła. Potem kazała to wymieść i rzuciła się na łoże.

Długo tak spoczywała. Aż nagle odemknęła oczy i siadła, spojrzawszy w stronę progu.

Eunuch Rabzarys siedział tam a usta miał znowu odemknięte.

Tedy zeszła ostrożnie z łoża, przystąpiła ku niemu i dobyła mu z zanadrza mały mieczyk.

Rabzarys spał mocno. We śnie twarz jego miała ten sam wyraz: tępość i srogość.

Kiedy się po pewnym czasie przebudził, już mleczne światło dnia rozjaśniało sypialnię i wszystko było widać wyraźnie.

Patrzył bezmyślnie przed siebie. Lecz nagle jął szybko mrugać oczami a także wstał.

Bo zdało mu się, że z łożnicy Nany zwiesza się czerwona wstęga i tworzy kłębek na posadzce.

Zbliżył się. I oto Nana leżała, sina całkiem, dzierżąc w kurczowo zaciśniętej ręce jego mieczyk.

Obok niej leżał również całkiem już siny Binnirar a także Sammuramat, twarzyczką ku pościeli obrócona.

A owa czerwona wstęga spływała w dół, stawała się szerszą i na posadzce kłębek jej rozlewał się w coraz większe koło.

Rabzarys stał tak chwilę, potem zawrócił wolno do drzwi, siadł w progu. I siedział tak dalej w ka-

miennym spokoju, jak mu było wyznaczone. A twarz jego wyrażała jedno: tępość i srogość.

. . . .

Oto są gaje królewskie, śród których przechadzają się bazaltowe woły o skrzydłach cherubów i obliczach ludzkich, lwy i orły o twarzach bogiń, smoki, tryskające z paszczy potokami wody przejrzystej, jeziora, po których lektyki pływają i wszelki inny dziw nikomu nieznany.

W pośrodku tych gajów jest wzgórze o schodach z białego kamienia. Na schodach tych siadł dwór, wszyscy dostojnicy, kapłani, niewiasty pałacowe a na samym dole król. Niewolnicy dzierżą za nim wielki wachlarz ułożony z piór pawich i strusich.

Wprost onej góry, którą obsiadł dwór, jest półkole wolne, zamknięte cyprysami. W środku tego półkola sterczy biały, ostro zacięty pal.

Tylko z boku pada purpurowe spojrzenie słonecznego boga Szamasza, który świeci już nisko, w zachodzie.

Przeto pal ów jest czerwony a ściana cyprysów, z lewej strony czarna, z prawej jest jak gdyby krwią zlana.

Tak samo ona góra głów i postaci z jednej strony ciemna jest a z drugiej jakby przysłonięta przejrzystą czerwienią.

Nimrud, dowódca wojsk królewskich klasnął po

trzykroć w ręce i oto zabrzmiały bębny i piszczałki i inne instrumenty.

A gdy tak grały, wstąpił w koło cyprysowe orszak różnych postaci. Jedne miały głowy orłów, drugie krogulców, jeszcze inne sępów. Obeszły dokoła pal i ustawiły obok niego wagę. A potem usunęły się w głąb i tam wyczekiwały.

Głucho zawarczały bębny, przeraźliwie ozwały się piszczałki i oto weszły postaci z głowami pelikanów, lwów i pawianów. Szły parami a niosły na drążkach posąg bogini Asztoret. Okrążyły pal i zatrzymały się po prawej. A w tej chwili słoneczny bóg Szamasz skierował na nie czerwone swoje spojrzenie i wysoko dzierżony posąg bogini Asztoret stanął cały jakby w płomieniach.

Wtedy jękliwie ozwały się fletnie, uderzył wielki bęben jak grom i z wrzawą niesłychaną napływał z lewej tłum postaci z głowami kruków, które ciągnęły za powróz wleczonego po ziemi wróżka.

Zdarta była z niego włosiennica, nagi był, wychudły okropnie i poczerniały. Wszędzie była na nim zakrzepła krew.

Wleczono go dokoła pala a potem po lewej dźwignięto z ziemi i stawiono prosto.

A teraz wszystkie instrumenty zawrzały niby wielką burzą i rozpoczął się sąd.

Oto postać z głową sępa wystąpiła z głębi i podprowadziła wróżka pod wagę.

A na to z orszaku bogini Asztoret wystąpiła postać z głową pelikana i skinęła.

Tedy ona postać z głową sępa szybkim ruchem sięgnęła do ust wróżka i ucięła mu język.

Następnie rzuciła go na szalę wagi. I oto szala opadła, dźwięknąwszy o głaz, który był pod nią.

Zerwała się nowa burza wśród instrumentów muzycznych a owa postać z głową pelikana skinęła powtórnie.

Tedy otoczyły wróżka ze wszystkich stron różne postaci z głowami orłów, krogulców i kruków, dźwignęły go w górę i położyły piersiami na ostry kół, tak, żeby był głową zwrócony w stronę posągu bogini Asztoret.

Z ust wróżka płynęła struga krwi a ciało jego grzęzło w on kół, wygięte okropnie, drgało długo, aż owisło bezwładnie.

Wtedy wszystkie postaci rozpoczęły pochód dokoła pala a gdy go okrążyły raz trzeci, zagasło czerwone oko Szamasza i oto nastała noc.

Tylko posępnie grały instrumenty, niby jakaś muzyka podziemu. A kiedy po pewnym czasie zapłonęły czerwone ognie na spiżowych czaszach, już nie było ani posągu bogini Asztoret, ani owych postaci, jeno sterczał pal i dziobem swoim zakrwawionym wysuwał się z pleców martwo owisłego pokutnika.

. . . .

Król teraz nikogo do siebie nie dopuszczał, tylko Taasmit. Kiedy kładł się do łoża i zasypiał, stawała mu w głowach Taasmit, naga, z harpą w rękach i śpiewała. A król miewał ciągłe zachwycenia.

To schodził do podziemnych świątyń i tam kładł się przed posągiem Asztoret. A wtedy stawała za nim Taasmit i śpiewała swój wstrząsający śpiew.

To płynął w noc gwieździstą na toń jeziorną ogrodów wiszących, legał na wznak zapatrzony w niebieskie utwierdzenie a Taasmit śpiewała mu.

Ale po każdem takiem zachwyceniu był zrazu omdlały i w sen zapadał a potem zaczynał tracić wszelkie czucie, że trzeba go było trzeźwić.

Kiedy się z onej niemocy dźwigał, oczy miał jak błędne, nieprzytomnie rozglądał się dokoła, za skronie się brał i mówił rzeczy dla innych całkiem niezrozumiałe.

Długo trwało, nim się uspokoił, nim przyszedł zupełnie do siebie. A wtedy zaraz wszystkich oddalał a sam zostawał. I dopiero gdzieś późnym wieczorem wzywał do siebie Taasmit a ona już wiedziała, jak się zjawić.

I zjawiała się przysposobiona do nowych zaklęć śpiewnych, zjawiała się w swej nagiej piękności, złotemi przepaskami przepasana, ze złotą harpą.

. . . .

Bóg Sin patrzył na Kalhu swojem lewem okiem, potem obu oczami a gdy zwrócił się na ogrody

wiszące okiem prawem, nadbiegły zwiastuny, że władca ziemi Synnear zbiera na pograniczu znaczne zastępy wojska.

Nie było prawie sposobności donieść o tem królowi, przeto Nimrud wysłał jednego z pechatów na czele tysiąca jeźdźców na mułach i stu jeźdźców na wielbłądach.

Ale w dwa dni później nadbiegły gońce zwiastując, że pechat został pobity na głowę i że władca ziemi Synnear zapuszcza się z wojskiem swojem w głąb kraju.

Tedy Nimrud odważył się wejść do króla i donieść mu o porażce. Król rozkazał mu dość ozięble wysłać tylu pechatów, ile będzie potrzeba dla odparcia najezdnika.

Nimrud wysłał tedy trzy tysiące jeźdźców na mułach i dwustu na wielbłądach.

Ale po upływie pewnego czasu znowu nadeszły wiadomości, że władca ziemi Synnear rozbił doszczętnie i te siły. Niebawem też przysłał do króla pismo z wyłuszczeniem powodów, dla których wypowiedział mu bój śmiertelny.

Skoro król pismo przeczytał, popadł w straszny gniew, kazał posłów ściąć i przez dwa dni nie wzywał do siebie Taasmit.

Zebrał radę wojenną i kazał Nimrudowi, aby osobiście stanął na czele wojska. Bardzo też był dla niego łagodny i małżonce jego kosztowne przesłał dary.

Ale gdy wrócił do siebie, zaciskał pięści i kułakami bił się po czole. Cios jadowity padł na niego z onego pisma. Skrycie wyciągał papyrus i odczytywał go.

Wszystkie obelgi listu nie obchodziły go, nie bolały go, nie drażniły. Ale jedna była, która żarła jako płomień żywy, jako ukąszenie węża.

Oto co napisał władca ziemi Synnear a rodzic Nany:

»Głupi pyszałku, który mniemasz, że boginie z nieśmiertelnych siedzib swoich będą schodziły w plugawe łoże twoje! Tyś jest oblubieńcem Asztoret? Ty? Powróz zarzucę ci na szyję i wlec cię będę do mej stolicy przed ołtarz Asztoret a zapytam jej, stopę na gardle twojem położywszy, ażali tak zdeptanym może być jej kochanek! Złodzieju, który grabisz posagi królewskich córek, ażali mniemasz, że Asztoret padłaby w objęcia rozbójnika? Srodze postanowiłem cię ukarać za morderstwo mej córki i jej słodkiego potomstwa. Ale srożej jeszcze ukarzę ciebie za zniewagę, jaką wyrządziłeś bogini. Kapłan jej, sędziwy Nabhad, miał objawienie. Oto stanęła przed nim Asztoret i powiedziała: idź do mego kochanego władcy ziemi Synnear i powiedz mu, aby się zbroił i upokorzył dumę nikczemnego Aszur-Idil-Ili-Ukinni. Niech go z powrozem na szyi sprowadzi do siebie i niech mu każe najpierw przez sto dni myć nogi swoim niewolnikom, potem niech go w świątyni mojej

eunuchem uczyni a wreszcie niech rzuci ciało jego psom na pożarcie«.

Pismo to złamało króla. Przed dworem pokazywał spokojną twarz, ale był upokorzony. Wolałby ponieść w bitwie najsromotniejszą klęskę, wolałby zginąć w mękach, niż taki papyrus przeczytać.

Taasmit, długo przez króla nie wzywana, przysłała do niego swoją zaufaną służebnicę z prośbą, aby o północy zjawił się sam u wielkiej wodnicy.

Król bardzo się na oną służebnicę zgniewał i nie poszedł.

Tedy Taasmit pismem wezwała go do siebie. Znowu nie poszedł.

I oto nocą leżał w łożnicy swojej, zgrzytając zębami i przewracając się. W głowie zapalały mu się szalone obrazy. Sam rwał się na wojnę; ale pycha iść nie pozwalała.

Zostanie, wodza pośle, nie zmierzy się z tym, który go tak boleśnie zranił, nie stanie mu, przez sługi swoje pobije go.

I tu lękliwie wypowiedział w myślach swoich: Asztoret mnie wspomoże...

A istotnie zaledwie wypowiedział to w myślach swoich z wielką lękliwością a niepewnością, zdało mu się, że łoże jego rozprzestrzeniło się, że jasność jakaś napełnia sypialnię, że śpiew jakiś brzmi nad powałą, pod podłogą, za ścianą jedną i drugą, wszędzie, czarodziejski, unoszący go śpiew. I oto ujrzał przed sobą na sinym obłoku stojącą,

przyjaźnie uśmiechniętą Asztoret, ujrzał po raz pierwszy, choć tyle razy czuł w objęciu swojem, ujrzał czerwonem światłem błyskającą...

Zerwał się z łoża. Widziadło znikło. Padł z wielkim płaczem na posadzkę, prawie bez zmysłów.

Ale w tej chwili uczuł, że jakieś dłonie unoszą z zimnych kamieni jego głowę, szepcąc mu słowa odwagi, wiary, zapału.

Była to Taasmit.

Rzekła mu:

— Asztoret mnie przysyła. Bądź mężnym i walcz o sławę jej posiadania!

. . . .

Z krawędzi wiszących ogrodów cały dwór spogląda na odjazd wojska.

Widok był wspaniały.

Jechało pięciuset jeźdźców na wielbłądach, tysiąc na mułach i dwa tysiące na osłach.

Potem postępowało trzy tysiące łuczników i tysiąc procarzy.

Następnie niesiono Nimruda w lektyce. Miał na sobie szatę przetykaną złotem z purpurowem obramieniem na szerokość ręki. Jedno takie obramienie szło z lewego ramienia po pas ku prawej stronie a drugie od pasa po prawej w dół i na około. Od pasa zwieszały się sznury purpurowe, zakończone wielkiemi frendzlami. Tam też był

utkwiony miecz bardzo misterny, którego pochwa z atłasu naszyta była drogimi kamieniami. Na nogach miał żółte postoły, na głowie kołpak barwy zielonej z wiszącemi dokoła złotemi wiśniami. Na nagich ramionach błyskały naramiennice. Baldachim jego lektyki mienił się wszystkimi kolorami a gdy słoneczny bóg Szamasz spojrzał na niego z nieba swem promiennem okiem, twarz jego zajaśniała wspaniale, że na krawędzi wiszących ogrodów zebrany dwór zakrzyknął:

— Gdzie wróg, który nie oślepnie na jego widok?

Lektyka zatrzymała się, bo król dał znak z muru.

Odpasał miecz własny, cisnął mu w dół i rzekł:

— Wracaj zwycięzcą!

Nimrud przykląkł, miecz w powietrzu uchwycił, ucałował i zawołał ku górze:

— Wrócę zwycięzcą, albo nie wrócę wcale!

Następnie siadł znowu do lektyki. Za nim ciągnęło się jeszcze nieprzebrane wojsko z różnem narzędziem wojennem. Popielata chmura pyłu uniosła się z pod stóp kroczącego żołnierza i odchylona wiatrem w lewo od całego pochodu była niby ściana obronna przez łaskawe bóstwo wydęta.

Wojsko szło dalej i dalej, malało w oddaleniu, aż zdało się być jakimś pochodem kolorowych motyli, który, powoli ruszając skrzydełkami, niknął w wąwozie.

Tylko górą widać było jeszcze toczenie się nad wąwozem owej popielatej chmury, coraz dalej, dalej, aż i ona znikła.

. . . .

Jest noc a świecą na niebie: gwiazda Kewan i gwiazda Mustaril a także Nibianu, Sachwis i inne.

Cisza jest. Tylko w oddaleniu słychać jakby grzmot podziemny.

Grzmot ten zbliżał się ustawicznie, aż wreszcie dwór niespokojny wyległ między kolumny, na tarasy i do ogrodów.

Wszyscy poglądali na południe, albowiem stamtąd brzmienie to dochodziło.

Lęk nieznośny siadł na piersiach jako duszenie. Mówili tedy jedni, że to wzdyma się fala potopu. A drudzy mówili, że to jest trzęsienie ziemi. A inni stanęli na krawędzi ogrodów wiszących i popatrywali niespokojnie w dal.

Czy to istotnie wzdyma się w oddaleniu fala potopu? Czy to wicher pustyni, wzdąwszy niesłychaną kurzawę, biegnie nisko nad ziemią z hukiem strasznym?

Wtem rozległ się rozpaczliwy krzyk:

— Wojsko Nimruda ucieka w popłochu!

Drżenie przebiegło ziemię. Przez rozległą krainę nocnem światłem zalaną pędziło stado rozhukanych wielbłądów. A z boku tego stada, niby potężny wódz popłochu, stał olbrzymi słup kurzawy.

Za wielbłądami biegły muły jak rozszalałe, biegły osły. Tu i ówdzie widać było na nich pochylonych jeźdźców, bez dzid, rękami obejmujących szyje zwierząt.

Ciemna fala pędzących wielbłądów z niezmierną chyżością zbliżała się do murów. Tu rozdzieliła się na dwie tętniące rzeki; jedna toczyła się wzdłuż murów, druga wpadła do miasta Kalhu, wywołując tam zgiełk, zamieszanie i wrzawę.

Ryk zwierząt był przerażający. Mieszkańcy z miasta uciekali w pobliskie góry.

Natychmiast też kazano pozamykać wszystkie bramy, wiodące do ogrodów wiszących i królewskiej siedziby. Zamiast dworu stanęły na krawędzi murów oddziały żołnierzy a nawet sprowadzono różne machiny, wyrzucające głazy, strzały i pochodnie gorejące.

Kiedy gwiazda Dilbat ukazała się na wschodzie, znowu rozległo się w oddaleniu niby szumienie wód albo wielkich lasów, kiedy ich konarami przedziera się wicher. Potem słychać było tupot, głuchy tupot, niby uderzanie tysiącznych młotów o drewniane belki. I znowu ukazał się ogromny słup kurzawy; ten rósł a zmieniał się w chmurę ciemną, toczącą się naprzód i niosącą w łonie swem wrzawę pełną rozpaczy i przerażenia.

I wreszcie na dnie tej kurzawy ukazała się jakaś czarna fala. A była to fala ciał ludzkich.

Oto uciekały wojska Nimruda.

Fala ludzka zbliżała się. Już widać było dokładnie zmieszane szeregi uciekających. Był to tłum bezładny, który niebawem wypełnił całą dolinę od górskich wąwozów i z ogłuszającym tupotem zbliżał się pod wydźwignięty na trzydzieści łokci mur ogrodów wiszących.

A na to pole wrzawy i zamętu patrzył z utwierdzenia niebieskiego księżycowy bóg Sin okiem swojem prawem. Patrzył długo, aż wreszcie, gniewny, zamknął je i zszedł pod ziemię.

. . . .

Już trzy dni trwa oblężenie, a głazy lecące z kusz, padają do ogrodów wiszących i łamią prześliczne drzewa jabłek granatowych, fig, oliwek, cyprysów i rododendronów.

Stratowane są trawniki nogami uwijającego się wszędzie wojska. Owa góra, pokryta schodami z białego kamienia, jest rozebrana, bo wszystkie jej kamienie zostały rzucone w to morze grzmiące, które wzdyma się dokoła ogrodów.

Tarany ogromne bodą mur w kilku miejscach. Huk ich jest ogłuszający. Z kusz wylatują skały coraz większe i oto już zburzona jest świątynia Adramelecha.

Skały padają dalej i oto kruszą się kolumny świątyni Nannara a jedna bryła padła już nawet przed świątynię Malik-Molocha.

Już dwa razy u muru wschodniego dźwignęła się wieża wrogich wojowników. Ale runęły na nich

głazy, zniesione z świątyni Adramelecha, że wieże owe padły i nie rychło dźwignęły się znowu.

Kiedy nocami wylatywały z dołu gorejące pochodnie, zdawało się, że są to płomienne języki gadów potwornych, które ze wszystkich stron kopułę czerwonych krat utworzyły nad siedzibą królewską. Wszędzie już dokoła pałacu płonęły zabudowania. Dwór, który był zrazu wylękły, teraz nabrał rozpaczliwej odwagi. Małżonka pechata Sandana pierwsza odrzuciła miękkie szaty a chwyciwszy dzidę, pobiegła na mury. Za nią pobiegły inne niewiasty pałacowe.

Z krawędzi murów padały nietylko głazy, strzały, ale i potok klątw a złorzeczeń.

A również z dołu powstawała nietylko chmura pocisków, ale i wrzawa, od której szło drżenie przez powietrze i drżenie po murach i wszelkim budynku.

Ale spiżowe bramy nie mogły wytrzymać uderzeń srogich taranów. Odpadały pancerze bronzowe, trzaskały belki i widnem się stało, że jeżeli nie przez mury, to przez owe bramy, których było sześćdziesiąt, prędzej czy później wleje się to morze wojowników, niby wody otworami do naruszonych ścian okrętu a potem wtargnie na pokład i zmiecie wszystko z jego powierzchni.

Tedy król zwołał do swego pałacu wszystkie niewiasty i wszystkich starych dostojników a także nieletnie dzieci i wydał rozkaz zatarasowania wszyst-

kich wejść. Teraz wykonawcą jego woli był Rabzarys z oddziałem eunuchów, którzy mieli w twarzach jedno tylko: tępość i srogość.

A kiedy na murach i około bram wojownicy i dworacy ostatkiem sił odpierali coraz wyżej wdzierającego się wroga, król, z kobietami w pałacu zamknięty, kazał Rabzarysowi wszędzie podkładać ogień.

Sam też znosić polecił wszystkie skarby swoje do wielkiej sali kolumnowej, utworzyć z nich ogromny stos a nakryć makatami i wszystkiemi szatami, jakie miał.

I stos ów był jako tron, albo jako łożnica. Na szczycie kazał sobie usłać łeże wygodne i rozpiąć baldachim a potem ostał się sam, zatrzymawszy przy boku swoim jednę tylko Taasmit.

Gdy się to stało, nalał wody na złotą miednicę i zawoławszy wielkim głosem: »Asztoret!« umył się. Tak uczynił siedm razy. A w dali huczała wrzawa bojowa niby grzmot zbliżającej się nawałnicy.

Potem stanął przed złotymi postołami. Twarz jego wyrażała nadzwyczajne uniesienie. Zawołał »Asztoret!«. A w pałacu już było słychać dudnienie płomieni i okropną wrzawę niewiast.

Potem stanął przed swoją szatą złotolitą i niby szałem porwany zawołał kilkakroć: »Asztoret!«. A w przyległych gmachach rozlegał się przeraźliwy pisk dzieci, otoczonych płomieniami.

Potem zwrócił się w siedm stron świata i niby pijany wolą swoją zawołał: »Asztoret!« A już nie było słychać ani wrzasku palonych kobiet, ani pisku dziatwy, tylko basowe dudnienie płomieni.

Tedy wstąpił na stos bogactw swoich i ułożył się tam pod baldachimem. A obok niego stanęła Taasmit, naga, złotemi przepaskami przepasana w biodrach, pod piersiami, na szyi. Dzierżyła harpę, uderzyła oburącz w jej liczne struny i poczęła grać.

Król przymknął oczy.

Wtedy z piersi Taasmit wypłynął śpiew miłosnego błagania i zaklinań.

Całe ciało jej, również w łuk wygięte, było jako jedno drganie głosu. Ale stała spokojnie, jak gdyby wcale nie śpiewała.

Lecz głos jej potężny wypełnił całą salę, wlewał się między kolumny, wszędzie, pod wysoką powałę, rylcem rzeźbioną w różne potwory nieba i ziemi.

Król odemknął oczy, które zaszły mgłą tęsknoty i pożądania. Usta jego drżały i szeptały jakieś niezrozumiałe wyrazy.

Śpiew Taasmit potężniał i był jako głos Adysynowy, kiedy dokoła huczy morze. W śpiewie tym była chęć posiadania i gwałt dążeń do miłosnych uścisków.

Król zapamiętał się.

Nagle też wszystkie ściany stały się czerwone, jak gdyby wschodził zewsząd blask Asztoret.

I oto zagrało morze płomieni do wtóru śpiewu miłosnego zachwycenia. Król uniósł ręce drżące, uniósł głowę a oczy jego były jako dwie łuny, które mienią się blaskiem coraz większym.

I oto zagrało morze czerwone dokoła stosu jego skarbów, wzdymało się wyżej z szumem i trzaskaniem.

A Taasmit rzuciła w nie harpę swoją, uniosła w zachwyceniu obie ręce nad ukochaną głową króla, któremu zaklinała rozkosz, jakiej mu sama dać nie mogła. Oczy jej były jako dwie gwiazdy a twarz jak jedno uniesienie.

Wtedy z piersi króla dobył się głos wizyjnego zachwytu. Bo oto w płaszczu pożaru szła do niego ta, dla której poświęcił całe państwo a z ogrodów wiszących i z pałacu swego i bogactw swoich uczynił jeden stos gorejący i sam na nim legł.

I w tej też chwili Asztoret, bogini ognia i bogini żądz, nakryła go razem z baldachimem, łożnicą i zaśpiewaną Taasmit, czerwoną szatą pożaru.

Z PROCHÓW PUSTYNI.

Kiedy czerwień zachodu obleje strumieniami słonecznej krwi żółte przestrzenie puszczy syryjskiej i bryźnie tym blaskiem na aleje potrzaskanych kolumn zamarłej w piaskach Palmiry, wtedy koczowniczy beduin, siedzący przed namiotem, opowiada zasłuchanej młodzieży legendę arabską o zbudowaniu tego miasta przez mądrego króla Salomona przy pomocy Dżynnów, czyli duchów.

. . . .

Mądrość świeci przed narodami, owłada duchy i stwarza dzieła wiekopomne.

Mądrość była udziałem króla Salomona, który zakochał się w pięknej córce Faraona i chciał ją pojąć za żonę.

Mądrość była mu światłem w tym czynie nocy. Albowiem Dżynnów nie wprzęga się do pracy bezkarnie i one zawsze się mszczą.

Król rozkochany zapragnął nietylko pojąć za żonę tę, która czciła wielkiego boga Amona, lecz chciał stworzyć dla tej miłości osobny świat, odcięty pustyniami od reszty ziem.

Król-mędrzec, dusze ludzkie znający, zapragnął zdala od rozgwaru życia stworzyć dla duszy swojej oddzielny kraj, aby ta dusza jego, przejrzawszy się w zwierciadle miłości, raz jeszcze doszła do samopoznania.

Król-człowiek, tajniki serca znający, zapragnął w krótką chwilę szału włożyć cały obszar myśli swojej. Zapragnął ów szał, niby niezbadaną a ciemną grotę czarodziejów, rozświetlić błyskiem swego genjuszu.

Aby mu doprawdy nic nie było zakryte.

Aby mądrość jego jak sonda zmierzyła morze szału i oznaczyła jego głębokość.

Udał się tedy na pustynię.

. . . .

Orszaki z rozkazu króla zostały w znacznem oddaleniu. Jedne koczowały na wapiennych wzgórzach Dżebel-il-Abjad. Drugie rozłożyły obozowiska w wąwozach Marbit-Antar. Inne rozbiły namioty na grzbietach Heljalu.

W piaskach pustyni pozostał król sam.

. . . .

Zachodzące słońce zaczerwieniło pustynię.

Źrenice siedzącego na piaskach króla poglądały

ku błękitom przez powietrze jakby przesycone krwią.

Czerwony wieczór syryjskiej pustyni był piękny, cichy. Zdawało się, że powinien trwać wieczność całą.

Toteż chwilę tę dumający król chciał zamienić w całą wieczność.

. . . .

Cisza na piaskach. Powietrze niby błękit pomieszany z czerwienią — spokojne, ciężkie, brzemienne.

Król przestał patrzeć na świat, choć wciąż patrzył przed siebie. Odemknął się na oścież drugi jego wzrok.

Źrenice cielesne patrzyły w nieskończoność a źrenice ducha ujrzały w owej nieskończoności to, co powstać miało.

I zaraz powietrze przepełniło się szeptami. Jakieś mary o kształtach przejrzystych poczęły przepływać w górze i układać się ze sobą poszeptem i ruchem. Niby z najcieńszych welonów utkane twarze podobne były do kozy i barana. Krążkami oczu porozumiewały się. Obracaniem głów wskazywały kierunek. Znikały i pojawiały się znowu.

A król ciągle patrzył w nieskończoność.

Siedział nieruchomy i skupiony w sobie, jak ów Sfinks krainy Micraim, który już podobno był, kiedy jeszcze nic nie było, i który będzie, kiedy już z wszystkiego nie zostanie nic.

Tylko ster wszelkich potęg, mądrość króla wszechwładna, zamknięta pod kopułą smagłego czoła, budowała świat cudów, jakiego żadna bajka wyśnić nie miała, jakiego żaden rozum wytłomaczyć sobie nie mógł.

. . . .

Ale chwila twórcza nie nadchodziła.

Bo oblicze króla było dopiero potężne.

Bo dopiero zajaśniało mądrością.

Bo jeszcze nie oblało się słodyczą uśmiechu miłości.

. . . .

Dżynnowie śledzili oblicze króla, każdej chwili chytrze wyczekując sposobności do ucieczki, aby ujść z pod zbliżającego się jarzma jego woli.

Poglądają. Oblicze jaśnieje mądrością potęgi. Radujcie się, Dżynnowie, jeszcze ujść możecie!

Poglądają znowu. Teraz oblicze jaśnieje mądrością wszechwiedzy. Cieszcie się jeszcze, Dżynnowie!

Ale patrzcie, patrzcie!

Gdyby głaz zaczął się powoli ożywiać i boski przybierać wyraz, lęk taki nie ogarnąłby was, Dżynnowie!

Czy to z błękitów nieba strzela zaranny promień? Czy z osłonek pąku wywija się kwiat róży? Czy z przestworów pustynnych wymajaczała oaza? Nie, Dżynnowie! To oblicze mędrca poczyna się uśmiechać marzeniem!

Tak. Król wzrokiem wtórym ujrzał przed sobą w oddaleniu widziadło zaziemskie, kształt cielesny mające. Dla tego widziadła, poznanego w krainie Białej i Czerwonej Korony, stworzyć ma raj.

Baczność, Dżynnowie, zaczyna się!

. . . .

Nagle dokoła króla wietrzyk leciuchny począł zataczać kręgi i wydmuchiwać wiry piasków złotych, które skręcały się niby pnie palmowe, coraz wyżej i wyżej, gładkie, toczone, smukłe jak kibić syryjskiej dziewicy.

Z rozwiejnych prochów pustyni skręca się cały las kolumn, rośnie i rośnie wirując. I nagle rozpękają się u szczytu wszystkie te palmy kolumnowe w kielichy misternie rzeźbione.

Między kolumny kładzie się błękit nieba, pomieszany z czerwienią, kamienieje we wzorzyste posadzki, zimne za dotknięciem stopy bosej.

Z misternie rzeźbionych kielichów kolumnowych strzelają na obie strony łuki, biegną dalej i dalej bratnimi rzędami, aż zamyka je ściana, rylcem marzenia zdobiona w przeróżne kwiecie.

Niewidzialne obłoczki zstępują na ziemię i niby marmurowe festony zwieszają się u zrębu gmachów, kolumnad, portyków, sal, izbic, wykładanych złotem, kością słoniową i perłami.

Z każdego ziarenka piasku wychyla głowę palma, rozwija warkocz zielony i krzepnie w swym pniu. Cyprysy i tuje, jak młodzieńce i dziewice, rzędami

stając, tworzą cudowne ogrody. Ziemia się otwiera i tryskają ze szmerem chłodzącym kryształowe wodnice. Dokoła zieleń, zapach, wiosna, barwy, kolumny, posągi i — cud cudów w wapiennej pustyni — dźwiga się granitowy obelisk, znakami świętymi tajemniczej wiedzy zapisany, ogrodom królewskości przydając.

Pracujcie, Dżynnowie, dalej a bez wytchnienia!

. . . .

Król siedzi w pustyni. Czerwień pod nim na piaskach leżąca zamienia się w szkarłatny kobierzec. Głaz, na którym spoczywał, zamienia się w złoty tron. Błękit niebieski, który się nad nim unosił, zwinął się w bogaty baldachim.

Dokoła strzeliły ściany, wywirowały kolumny. Powietrze napełniło się dźwiękiem instrumentów muzycznych. Niby fale różnokolorowe płyną melodje namiętnych fletni, słodkich arp, a dzwoneczki tak dzwonią jak krople dżdżu, gdy padają na wody.

Pod wpływem tej muzyki każda kolumna ożywia się i zamienia to w dziewicę, to w młodzieńca. I oto kołem ogromnem otacza króla dwór. Młodzieńcy mają szaty błękitne, dziewice różowe; na kruczych włosach złote przepaski. W rękach sambuki, arpy i trójkąty. Powietrze śpiewa pieśń uroczystą. Powietrze marzy!

A król zapatrzony w nieskończoność uśmiecha się uśmiechem rozkosznej wizji.

Unosi zwolna głowę. Wyciąga ramiona.

Tam, w nieskończoności, po drodze blasków i świateł w gościniec kolumnad schodzi ku niemu piękno, kobiece kształty mające.

Król powstaje z tronu, rusza krok naprzód. Powietrze wybucha szałem. Powietrze szaleje!

Drżą ręce króla. Zjawisko już na brzegu szkarłatnego kobierca.

Teraz król je dotyka, ujmuje, porywa w uścisk...

. . . .

Tak marzy koczowniczy beduin, gdy czerwony wieczór syryjski położy blaski na strzaskanych kolumnach Palmiry, a lekki wietrzyk, rozdmuchując prochy pustyni, wygrzebie z pod nich czaszkę wielbłąda i leżącą obok zbielałą czaszkę człowieka.

SEPTUAGINTA.

Od tygodnia była Aleksandrja miastem niezwykłych uroczystości. Król Ptolomeusz Filadelfos, potężny władca krainy Aj-Gabt, podejmował w swym marmurowym pałacu siedmdziesięciu dwóch starców.

Każdego ranka, gdy słońce się podnosiło z purpurowego łoża, stawały nad brzegami Morza Śródziemnego niezliczone orszaki dziewic, młodzieńców, niewiast i mężów. Najpierw rozlegały się słodkie kitary, lutnie trójkątne i w złoty łuk zgięte arpy. Następnie mieszały się do nich fletnie, cymbały i puzony. Wreszcie z tysiąca piersi wybuchał chóralny śpiew, ulatując ku błękitom.

A potem przez cały dzień panowała w mieście uroczysta cisza. Nikt nie wychodził na ulice. Nawet w domach porozumiewano się ze sobą szeptem. Bo potężny władca krainy Aj-Gabt, król-filozof, rozmawiał ze starcami.

I każdego wieczoru, kiedy spalone słońce czer-

wieniło niebieskie dale Morza Śródziemnego, stawały na wybrzeżu te same niezliczone orszaki, rozbrzmiewała pieśń, żegnająca szczęśliwy dzień i błogosławiąca mu. Bo król filozof o jedną myśl zbliżył się do starców.

Dopiero gdy noc szafirowa z wieńcem gwiazd na czole zwiastowała koniec każdodziennej dysputy, cała ludność w szatach odświętnych wylegała z domów.

Jaśniały rzęsiste światła. Kolumny portyków na Bruchium i Rakotis, owinięte łańcuchami róż i lilji, nasiane były różnokolorowymi ognikami.

Z Akropolisu biła w górę łuna czerwieni, fioletu i płomienia pomarańczowego.

Przed białymi marmurami pałacu monarchy, po olbrzymich tarasach, śród spiżowych posągów i lwów bazaltowych, śród fontan, mirtów i cyprysów, snuły się tłumy pieszo i w lektykach.

Dziewice do powiewnych boginek podobne wykonywały tańce. Otaczały je olbrzymiem półkolem inne dziewice, uderzające plastronem w arpy, lub trącające zręcznymi palcami dźwięczne struny dychordów i sambuków.

A dalej szły znowu półkolem rzędy młodzieńców, uderzających w trąby i bębny. Tkany złotem szkarłat mieszał się z lśniącym białym i błękitnym atłasem, który owijał brunatne ciała od piersi do kolan. W kręconych włosach mieniły się złote przepaski. Smagłe twarze o pąsowych ustach tchnęły

wiosną i pragnieniem szczęścia. W czarnych oczach bielały źrenice jak mat pereł.

Z wielkich bronzowych wazonów biły płomienie palonych kadzideł, rzucając różnorodne blaski na tanecznice, na chóry, na tłumy, na pałac, w którym król-filozof wraz z siedmdziesięciu dwoma starcami zasiadał do uczty.

Gdzieś w głębi pustyni, śród szafirowej nocy, śród ciszy wieków, drzemały zapomniane piramidy, omszone sfinksy i rozpadające się w ruinę labirynty świątyń Ramzesów. Tu nowa cywilizacja, krocząca przez wyspy greckie od Hellady, dźwignęła swoje fundamenty, a śród tej nowej cywilizacji niby świetny meteor zajaśniała nowa idea, która teraz pochłaniała niepodzielnie głęboki umysł króla-filozofa.

. . . .

Przesiadywał był całymi dniami w książnicach na Bruchium lub Serapeum. Piękna jego córka Berenika podawała mu cenne zwoje Platona, podczas gdy syn Energetes wraz z bibljotekarzem Demetryuszem Falerejskim czynili poszukiwania za rzadkimi rękopisami.

Od tej pracy monarcha odrywał się tylko, aby doglądać robót nad rozszerzeniem jeziora Mareotis, które nakazał celem złagodzenia wylewów Nilu.

Przy tych robotach jęczało w okropnej niewoli sto tysięcy Hebrejów, naganianych biczami dozorców, smaganych słoneczną spiekotą, uwalanych mułem Nilowym, własnym potem i własnemi łzami.

Gdy król się zbliżał, przestawały świszczeć baty i milkły chrapliwe nawoływania dozorców. Król wspierał się na ramieniu syna. Berenika szła przodem.

Niewolnicy wynędzniali, nadzy, tylko w biodrach łachmanem brudnym przepasani, prostowali się na ich widok. Poglądali na piękną królewnę niemem spojrzeniem błagania, w niemym ruchu wystawiali rany swoje. A gdy przechodziła nie zwróciwszy na nich uwagi, ulatywały z piersi ciężkie westchnienia a na znękane twarze występowała ostatnia beznadziejność.

I ów król-filozof, który dumał nad Platońską ideą nieśmiertelności, którego szlachetna pierś podnosiła się żywiej przy czytaniu Apologji Sokratesa, który bystrym umysłem przenikał wszystkie teksty Arystotelesa, nie miał oka dla nędzy i strasznej niedoli tych kopaczy, nie słyszał ich westchnień, nie widział krwią ociekłych batów w rękach dozorców, ani wystawianych ran, ani przerażających twarzy.

Mniemał natomiast, że te przekopy są wielkiem dziełem kultury, które przekaże wiekom. Ale ile łez, zgrzytań i klątw przekaże wraz z niemi wiekom, nad tem się nie zastanawiał. Ci niewolnicy nie byli ludźmi. Wszak nawet jego boski mistrz, jak wykazywały zwoje, nie mógł sobie wyobrazić idealnej rzeczpospolitej bez niewolników.

Władca i mędrzec, wiązał wszelki skutek z przy-

czyną, roślinę z nasieniem, uderzenie z pręgą na ciele, ale dopóki to dotyczyło jego samego, Bereniki, Euergetesa i trzystu tysięcy wolnych obywateli. Natomiast wszelki ów wzajemny związek przestawał dla niego istnieć, gdy chodziło o sześćkroć stotysięcy niewolników aleksandryjskich, lub owe sto tysięcy Hebrejów, grzęznących w czarnym mule jeziora Mareotis.

. . . .

Aż razu pewnego wpadł do niego zadyszany Demetrjusz, który, że był niezmiernie burzliwego umysłu, nigdy się przez straż zapowiadać nie dawał. Niósł w rękach jakieś zwoje.

— Czytaj, monarcho! — zawołał, trzęsąc się z wrażenia. — Nowy świat myśli!

Zdumiony król wziął do ręki zwój pierwszy. Pismo było semickie.

— Jest to księga Bereszit — objaśniał Demetrjusz. — A tu znowu księgi Szemot, Waikro, Bemidbor, Deborim, cały ów słynny Pentateuch! Euergetes niesie zwoje Thyllem, owe pieśni nad pieśniami, w których rozbrzmiewają radości, żale, skargi, rozpacze i tryumfy tysiąca pokoleń!

Król patrzył na księgę Bereszit, podniósł ją do światła, ale że nie władał biegle językiem tekstu, przeto dał rozłożony zwój Demetrjuszowi. Ten chwycił go, uniósł w górę i głosem uroczystym, śpiewnym, jął odczytywać pierwszy rozdział.

Król słuchał uważnie. Potem podparł brodę ręką. Potem wyprostował się. Potem odemknął usta i wyszeptał:

— Wielkie, wielkie!

. . . .

Odtąd codziennie Demetrjusz musiał mu odczytywać zwój za zwojem i tłomaczyć na język grecki miejsca zawilsze. Ale znaczenia wielu miejsc nie umiał objaśnić.

Więc sprowadzono z Memfis Hebrajczyka Arysteasza, głośnego w tem mieście filozofa. Ten, zrazu nieśmiało, następnie jednak coraz ufniej, wykładał królowi miejsce za miejscem, werset za wersetem.

Król nie puszczał teraz od siebie uczonego Hebrejczyka. Nie zwalniał go nawet wtedy, gdy szedł nad jezioro Mareotis celem sprawdzenia postępu robót.

Razu pewnego, stanąwszy tam, przerwał nagle filozoficzną rozmowę, popatrzył uważnie na krocie uwalanych mułem nędzarzy, potem na Arysteasza i znowu na nędzarzy.

— To bracia twoi?

Arysteasz przytwierdził.

— Więc z onego plemienia wyszły te księgi?

Na twarz Arysteasza wystąpiły lekkie ognie; tylko oczy stały się niesłychanie smutne.

Monarcha zaś patrząc po tłumach nędzarzy, szeptał jakby do siebie:

— Wielkie plemię! Wielkie plemię!

Jeszcze tego samego dnia wydał rozkazy. I wypuszczono na wolność sto tysięcy Hebrejów.

Armja tych nędzarzy, uniesiona szałem radości, wtargnęła jak burza do miasta, otoczyła ze wszystkich stron pałac królewski i zawyła huraganem płaczu.

Przerażeni aleksandryjczycy wylegli z domów i pytającemi oczyma spoglądali ku pałacowi królewskiemu.

Nawet z okrętów, dążących ku wyspie Faros, patrzyły załogi w stronę lądu. Bo ten płacz, wybiegający ze stu tysięcy piersi ludzkich, rozlegał się na kilka mil w około po przestrzeni morskiej.

. . . .

Potem król czytał z Arysteaszem Psalmy. A skoro je poznał, zapragnął całą duszą, aby je poznał świat.

I zapragnął jeszcze, aby to poznanie nastąpiło przez niego.

Usłuchawszy tedy rady Arysteasza, wysłał delegację z pismem do arcykapłana miasta Jeruszalaim, aby mu dla dokonania przekładu na język grecki tych wielkich ksiąg przysłał z każdego pokolenia po sześciu najuczeńszych mężów.

Ale nim delegacja dotarła do stolicy Palestyny, dobiegła już wieść o wypuszczeniu na wolność wszystkich niewolników.

Okrzyk radości rozległ się po całej krainie od Morza Martwego aż po Liban. Naprzeciw wracających synów biegły matki jak błędne, biegły z szlochaniem żony witać mężów, kazali się nawet prowadzić oślepli dziadowie. Cała kraina wyległa na spotkanie.

— Księga nas wybawiła! — rozlegało się po dolinach.

— Księga ich wybawiła! — brzmiało po górach.

Niebawem ruszył w pochód ku Aleksandrji wspaniały orszak siedmdziesięciu dwóch starców, ze służbą i otoczeniem, na wozach, na osłach, na mułach i koniach.

Był to pochód starców, którym się zdawało, że nie kroczą w stronę grobu, ale w stronę wtórej młodości.

W Aleksandrji u Bramy Słonecznej powitał ich władca krainy Aj-Gabt, opierający się na ramieniu Energetesa i młodziuchnej Bereniki. Złota świta otaczała króla. Na murach śpiewały chóry. W ulicach rzędy dziewic sypały pod stopy kroczących starców mirty, złocienie i heljotropy. Orszak z rodziną monarszą na czele pociągnął na zamek królewski. Każdy starzec zamieszkał w osobnej komnacie i miał służbę sobie przydaną, aby mu, w jego wieku, na niczem nie zbywało.

Ale król-filozof pragnął pierwej wybadać ich umysły, zanim powierzyłby im dokonanie tak wielkiego dzieła, jak przekład onych ksiąg.

Więc po zarannem powitaniu dnia, gdy przebrzmiały arpy, sambuki, lutnie, fletnie, puzony i bębny, gdy śpiew chóralny rozpłynął się w błękitach niebieskich, król filozof gromadził starców koło siebie i toczył z nimi dysputy.

Wtedy to cisza uroczysta zapadała nad Aleksandrją, póki znowu o zachodzie te same zastępy nie zebrały się na wybrzeżu, by żegnać szczęśliwy dzień i błogosławić mu. Bo z każdym owym dniem król filozof zbliżał się o jedną myśl ku starcom.

. . . .

Aż siódmego dnia dysputa dobiegła do końca.

Od bazaltowych lwów na tarasach, przez portyki Bruchium do Bramy Księżycowej i od Bramy Księżycowej aż hen po wybrzeże, stanęły żywe szpalery dziewic, młodzieńców, mężów, uderzając w instrumenty, sypiąc heljotropem, lewkonją i różą.

Pod wybrzeże podpłynęły krzywodzióbe okręty o purpurowych żaglach w złote wzorce tkanych, przystrojone wieńcami, wyłożone na pokładach kosztownemi makatami.

Starcy mieli odpłynąć na pobliską wyspę Faros, aby tam, w ciszy i skupieniu, śród gajów palmowych, dokonać wiekopomnego dzieła, przekładu ksiąg świętych, który to przekład nazwano potem Księgą Siedmdziesięciu Dwóch, czyli krótko Septuagintą.

Ale nim wzruszeni starcy pożegnali się z kró-

lem filozofem i ruszyli w stronę wybrzeża, wystąpił przed nich najsędziwszy, bo prawie stuletni Ezeasz — i przemówił.

Wielka cisza zaległa tarasy.

Ezeasz wysławiał najpierw wielkość Boga, który natchnął Prawodawcę i Proroków taką księgą.

Potem sławił władcę krainy Aj-Gabt, który pod wpływem onej księgi dokonał większego dzieła, niż dźwignięcie Salomonowej świątyni lub sześćdziesięciu wieżyc Syonu, bo wypuścił na wolność sto tysięcy ludzkich istot.

Takiego dzieła nie dokonał przed nim nikt, odkąd stoją węgły świata na swych miejscach.

Tu, na tych tarasach kwieciem przyprószonych, rozlegała się owa burza ludzkiego płaczu z powodu odzyskanej wolności. Więc też i tu, na tych wspaniałych tarasach, ma być wypowiedziane słowo przestrogi.

Księga ich zbawiła, księga rozejdzie się po świecie, aby wszystkim ludom ziemi o nich wieścić, księdze winni być zatem wierni.

Więc ktokolwiek zdradzi tekst, przeinaczy, dodatkiem swej myśli skazi i dodatkiem swego słowa splami —

Ktokolwiek zdradzi tekst, niewiernym mu będzie lub małowiernym —

Ktokolwiek choćby najmniejszy klejnot w przekładzie uroni —

Ten niechaj popadnie w tak okropną niewolę,

z jakiej ona księga jego syny i jego wnuki wybawiła —

Z której wybawiła sto tysięcy nędzarzy, jęczących w przekopach jeziora Mareotis a teraz oddychających swobodnie świętem powietrzem pól palestyńskich.

. . . .

Ogromne wzruszenie ogarnęło tłumy.

Starcy wyciągnęli uroczyście prawe ręce z podniesionymi dwoma palcami i przysięgali.

Berenika drżąc na całem ciele, tuliła się do ojca. Energetes krył czoło w rękach i w głos płakał. Z poważnego oblicza króla mędrca kapały łzy na białą, tkaną złotem szatę.

Potem przez kwiecisty szpaler dziewic, młodzieńców i mężów, orszak starców ruszył w stronę Bramy Księżycowej i morza.

Gdy wsiadali na okręty, tłumy zarzucały ich kwiatami, kobiety zrywały z włosów złote przepaski, ciskając na nich, młodzieńcy skakali w morze, płynąc z wesołymi okrzykami dokoła rzeźbionych ścian statków. Zagrzmiały puzony, bębny, cymbały, harpy, liry, fletnie.

Ptolomeusz, stojąc na wzniesieniu, przesyłał im ręką ostatnie pożegnanie.

Potrójne rzędy wioseł uderzyły o wody. Łagodny wietrzyk wydął lekko purpurowe żagle. Statki ruszyły na morze.

A właśnie słońce dotknęło błękitnego widnokręgu płomienną swą tarczą. Rozgorzała czerwień na niebie i na morzu. Statki, przybrane wieńcami, ze zgromadzonymi starcami na pokładzie, oddalały się.

Król dał znak, chóry zamilkły.

Tłumy, do rozsypanego kwiecia podobne, patrzyły z brzegów w milczeniu ku onej czerwieni i oddalającym się statkom.

I wtedy za oną czerwienią i śród niej, na wielkiej rozdali morskiej, chór odpływających starców zabrzmiał Psalmem:

— Chwalcie Pana wszyscy narodowie, chwalcie go wszyscy ludzie! —



HAUZA.

Rzeka Frat poczyna toczyć mętną wodę. Widnokrąg staje się jak załzawione oko. Błękit nieba traci swą przejrzystość a słońce jest blade jak płótno.

Po zeschłej na popiół pustyni tańczy wiatr, dźwiga ruchome lejki piaskowe i nagle cichnie. A lejki opadają i tworzą wzgórza.

Te wzgórza rozkopują Frankowie, biorąc do pomocy Fellachów, którzy pracować nie lubią, bo Puszcza daje im, co potrzeba, a resztę dają im pielgrzymi.

Ci Frankowie wykopują zapisane cegły i wywożą w kraj daleki. Ale gdy rzeka Frat poczyna toczyć mętną falę, roboty ustają.

Z wszystkich dolin Fellachowie przenoszą namioty na wzgórza, bo wiedzą, że niebawem rozpocznie się doba potopu.

Popielate woły o rogach podobnych do dwóch sierpów są niespokojne. Konie wznoszą łby i popatrują ku zachodowi.

Niekiedy spadnie kilka wielkich kropel deszczu. I znowu susza.

Tylko wielbłądy nie tracą swego pokoju. Leżą na podwiniętych nogach, wychudłe, obojętne.

Aż pewnej nocy poczyna się w powietrzu szmer tajemniczy, który przypomina szumienie lasu. To z nagromadzonych chmur poczyna odłączać się ulewa.

Już deszcz sypie jak groch po namiocie utkanym z sierści wielbłądziej. Na spieczoną ziemię pada ulga. Fellachowie wychylają się z namiotów i mają twarze rozradowane. Dzieci wybiegają i wracają, kapiąc wodą.

Pustynia zrazu dymi oparem, który pod wpływem deszczu wznosi się ze spiekłej ziemi. Ulewa wydyma także kurzawę. Ale ta kurzawa, zbita niebawem, staje się jako włos zmoczony i przyklepany do głowy.

Kiedy pierwsze strugi deszczu ochłodzą powietrze, kiedy się wszyscy nacieszą wyczekiwaną porą potopu, który napełni kraj zielonością, wtedy w każdym namiocie kupi się rodzina dokoła rodzica i wtedy poczyna się plenić baśń i pieśń.

Niekiedy Fellachowie zbierają się w większym namiocie a Sitti Jusuf, stary patryarcha, którego Frankowie bardzo szanują i »der zweite Salomo« nazywają, rozpowiada o powstaniu wszechrzeczy i mówi tak.

. . . .

Na początku byli Elohaj i Tiamat. Elohaj był duchem bożym a Tiamat był rybą w wielkich wodach.

Ten Elohaj i ten Tiamat byli tak najpierw bardzo a bardzo długo. A zresztą nie było nic i nic się nie działo.

Ale razu pewnego Elohaj schylił się nad wielkie wody, gdzie potwornemi nozdrzami dychał Tiamat. Elohaj wziął ostry miecz, długi jak palma, i przeciął potwora przez pół.

Potem wziął jedną połowę a uczynił z niej utwierdzenie niebieskie. Potem wziął drugą połowę i uczynił z niej utwierdzenie ziemskie.

Tak zrobił Elohaj na początku. A zrobił to w wielkiej ciemności, albowiem nie było jeszcze żadnego światła na zewnątrz rzeczy.

Więc powiedział sobie Elohaj: ciemno mi, a trzeba, żeby było jasno; uczynię tedy światłość. I uczynił światłość.

A jak tę światłość uczynił?

Były ludy, które mniemały, iż spłodził Szamasza, boga słonecznego. Ale on Szamasza spłodzić nie mógł, albowiem nie miał żony. Toteż ludy, które mniemały, że Elohaj spłodził Szamasza, wyginęły do ostatniego namiotu i nie pozostało po nich nic.

A inne ludy mniemały, że Elohaj spłodził Sina, boga księżycowego a dopiero ten spłodził Szamasza, boga słonecznego. Ale jako było powiedziane nikt nic nie spłodził, albowiem nie było jeszcze żadnego łona macierzystego.

Jeno Elohaj stanął i wypowiedział zaklęcie: Bądź światłość! I zaraz była światłość.

Oto jak uczynił Elohaj światłość.

Fellach, gdy chce mieć namiot, musi wychować wielbłąda, żeby był rosły, musi go potem zabić, musi sierść jego oskubać, musi z niej uczynić nitki a potem z nitek tkaninę i bardzo się namozolić. A Elohaj rzeknie tylko: bądź! I będzie.

Tak stała się światłość, która wchodziła na utwierdzenie niebieskie i schodziła z utwierdzenia niebieskiego. Ale jeszcze nie było ani słońca, ani księżyca, ani żadnych gwiazd.

Wtedy Elohaj stanął i powiedział sobie tak: trzeba, żeby była granica wyraźna pomiędzy dniem a pomiędzy nocą, aby Fellachowie wiedzieli, odkąd liczyć dzień a odkąd liczyć noc. Od której straży liczyć jedno a od której straży liczyć drugie. I choć wejdzie światłość na utwierdzenie niebieskie, nie zmieniać jeszcze straży. Dopiero wtedy, kiedy znak dnia się ukaże, wtedy ma się straż zmienić.

Tak powiedziawszy sobie Elohaj, sięgnął po lewe oko Tiamata i po jego prawe oko. A miały one blask nierówny. Jedno miało blask większy a drugie miało blask mniejszy. Elohaj umieścił na utwierdzeniu niebieskiem oko jaśniejsze i rzekł: bądź słońce! A potem umieścił na utwierdzeniu niebieskiem oko mniej jasne i powiedział: bądź księżyc!

I było słońce i był księżyc. Oto jak było.

I stało się, że każdego ranka, kiedy wchodziła

jasność na utwierdzenie niebieskie, Fellachowie czekali, aż się ukaże jaśniejsze oko Tiamata. A gdy się ukazało, zmieniali straże.

A wieczorem, gdy tylko oko to się zamknęło, zaraz także zmieniali straże, choć jeszcze czas jakiś była światłość.

Oto jak Elohaj ustanowił granicę wyraźną pomiędzy dniem a nocą.

Ludy zaś, które wierzyły, że się to stało inaczej, wyginęły do ostatniego namiotu. Te zaś, które wierzą, że nie było inaczej, żyją i mnożą się. Wyjątek stanowią Frankowie, którzy przybywają do Nippur i tam kopią. Ale oni mają dużo złota i dają Fellachom dobrze zarabiać. Kopią także około Mosul i gdzieindziej jeszcze, szukając cegiełek zapisanych starem pismem. A gdy odczytają ostatnią cegiełkę, to na niej znajdą, co się tu właśnie mówi. I wtedy, ponieważ to bardzo rozumni ludzie ci Frankowie a wszyscy noszą okulary, przyznają, że Elohaj rozciął przez pół Tiamata, że z jednego oka uczynił słońce a z drugiego księżyc, przeto jeszcze lepiej dadzą zarabiać Fellachom, albowiem przekonają się, że ci nie potrzebowali wcale kopać się za cegiełkami, jeno wszystko wiedzieli naprzód. Ale dlatego też nie trzeba Frankom przeszkadzać w kopaniu, bo nie poznaliby dzieł Elohaja i Elohaj gniewałby się za to na Fellachów.

Oto, co uczynił Elohaj na początku. Ale niebawem uczynił znacznie więcej.

Tiamat, rozcięty przez pół, kapał wodą, nastały tedy potopy a Elohaj powiedział sobie: źle tak jest, aby było ciągle.

Wziął tedy z Tiamata jedną żyłę a położył na ziemi babilońskiej i rzekł: bądź rzeka Frat i płyń z góry na dół.

Potem wyjął drugą żyłę, położył na ziemi egipskiej i rzekł: bądź rzeka Nil i płyń z dołu do góry.

Potem powyjmował jeszcze dużo żył i żyłek i poukładał w poprzek. I stało się, że wszystkie wody spłynęły do tych rzek.

A potem Elohaj rozejrzał się po utwierdzeniu ziemskiem i rzekł sobie: Gdzież są one zielone trawy, które mają skubać zwierzęta moich Fellachów?

Gdzież jest palma, która da mu swój owoc? Gdzież są obfite ryby, które ma czerpać z wód Tygru? Gdzież jest to ptactwo, na które uczył się będzie sidła zastawiać?

Tedy stanął, popatrzył i rzekł:

— Bądź roślina!

I była roślina.

— Bądź ryba!

I była ryba.

— Bądź zwierz i wszelaki ptak!

I był zwierz oraz wszelaki ptak.

Ale wielbłąda Elohaj uczynił dnia osobnego, także wielbłądzicę, byka, krowę, kozła i kozę, ogiera i klacz, osła i oślicę, albowiem postępował sobie bardzo starannie.

Tak przygotował wszystko na przyjście Fellacha, który miał być dyademem jego dzieł i zdumieniem świata.

Ale nim stworzył Fellacha, pościł przez czterdzieści dni i czterdzieści nocy. Gdy już wypościł się, obchodził święto wielkiego Bajramu, zjadł jeden orzech kokosowy i napił się wody z rzeki Frat.

Tak posiliwszy się, uczynił z prochu ziemnego pierwszego Fellacha i nazwał go Adam, to jest Człowiek, to jest Ziemianin.

Ale Fellach był samotny. I ciągle się oglądał, że sam jest.

Wtedy Elohaj rzekł sobie: Jak on się wciąż ogląda? A potem powiedział do Fellacha: Uśnij!

I Fellach zaraz usnął.

A Elohaj wyjął z niego kość, napluł na nią, i oblepił prochem ziemi. Zaś rzekł do onej kości: Bądź Hawwa, matka rodu Fellachów.

I stała się Hawwa, matka rodu Fellachów i rodu wszelkiego a także rodu Franków, którzy mają dużo złota i dają dobrze zarabiać Fellachom.

I rzekł im Elohaj: Płódźcie się. A oni się płodzili.

I rzekł Elohaj do pierwszego Fellacha: Zawieś Hawwie jaszmak na twarzy, albowiem tylko mąż ma oglądać oblicze swej żony.

I rzekł pierwszy Fellach do Elohaja: Panie mój! Kiedy nocą spojrzę na utwierdzenie niebieskie,

jakże wyczytam losy moje i losy świata, skoro przestwory są puste?

Elohaj pomyślał i rzekł: Oto ci uczynię, o co mnie prosisz, abyś wiedział, że co jest na utwierdzeniu niebieskiem zapisane, to się stanie.

Wziął tedy łuskę Tiamata, rozrzucił ją po utwierdzeniu niebieskiem i rzekł: Bądźcie gwiazdy!

I były gwiazdy.

Ale zaraz potem rzekł do Fellacha:

— Tom ci uczynił, abyś żył. Ale przyjdzie Mahomet, prorok mój, i powie ci co masz czynić, aby mnie nie obrazić.

A na dowód prawdziwości jego słów będzie, iż ci pozwoli brać w zamęście nie jedną żonę, jak to czynią Frankowie, ale cztery. Tyś jest Fellach i daję tobie cztery żony!

A potem nastał piątek i odpoczywał Elohaj po wielkiej robocie swojej.

A gdy przyszedł Mahomet, stało się, jak Elohaj zapowiedział. Mahomet dał cztery żony Fellachowi a ten płodzi się i panuje w licznych szczepach, wolny człowiek pod wolnym namiotem.

A Elohaj nic nie powiedział, żeby płacić haracz albo podatek do Istambułu. Przeto, choć Istambuł wierzy w Mahometa, niema prawa ściągać podatków i haraczów a także zabraniać Fellachom nosić strzelby, jak się to stało w Karjetanie roku zeszłego a pod Haleb roku zaprzeszłego.

Dlatego Frankowie, którzy dobrze dają zara-

biać Fellachom, pisali do Istambułu w obronie Fellachów i pismo ich z pewnością odniesie pożądany skutek, tylko że bardzo długo idzie i dlatego dotąd niema odpowiedzi.

. . . .

Sitti Jusuf umilkł a mowa jego wywarła wielkie wrażenie.

Byli tacy, którzy jeszcze nie wszystko zrozumieli. Więc pytali:

— Czy wielbłądy były odrazu duże, czy też uczynione zostały jako żrebce?

— Czy Elohaj dał pierwszemu Fellachowi gotowy namiot, czy też on sam go sobie musiał sporządzić?

— Czy księżyc w chwili stworzenia był w pełni, czy na nowiu?

Sitti Jusuf wydymał wargi, ale słuchał bardzo cierpliwie. A potem, gdy już nikt więcej nie pytał, odpowiadał odrazu wszystkim.

— Wielbłądy były odrazu duże, bo małe musiałyby ssać a wymię wielbłądzicy nie było jeszcze pełne. Elohaj nie stworzył namiotu, tylko Fellach wyczytał w gwiazdach, jak go ma sobie uczynić; dziś już każdy Fellach wie, co mu potrzeba, dlatego w gwiazdach nie czyta, z wyjątkiem mędrców. A księżyc był w dniu stworzenia na pełni, albowiem stworzenie świata było rzeczywiście jego początkiem, a nie środkiem, lub końcem. Zresztą jak jest nów, to księżyca nie widać.

Wszyscy uznali słuszność tych objaśnień a jeden wciąż powtarzał:

— To jest ogromnie ciekawe!

Gdy umilkli, wtedy ktoś z boku rzucił takie pytanie:

— A dlaczego Frankowie nie chcą wierzyć w Mahometa?

Sitti Jusuf odpowiedział, że jest zmęczony i że innym razem na to pytanie odpowie. Ale ów człowiek, który się był przedtem odezwał, rzekł:

— Sitti Jusuf, tyś dawniej inaczej mówił o Frankach, ja dobrze pamiętam. A teraz ty nie chcesz odpowiadać i ja wiem, dlaczego ty nie chcesz odpowiadać!

Sitti Jusuf stał się purpurowy jak anemon a następnie zaklął:

— Żeby cię gryzły ryby rzeki Frat! Tobie wogóle nigdy odpowiadać nie będę!

Ale ów człowiek odparł:

— Ja wiem, Sitti Jusuf, dlaczego ty złych rzeczy teraz nie lubisz opowiadać o Frankach. Bo tobie Frankowie dali dwie sztuki złota, abyś nas namawiał do kopania. Oni wybierają wszystkie cegły i drogo sprzedają, kiedy my sami moglibyśmy je wykopywać i na wielbłądach odstawiać do wszystkich ziem Franków.

Sitti Jusuf zakrzyczał:

— Głupi ty jesteś! Między ziemią Franków a Puszczą jest Wielka Woda, której wielbłądy

nasze nie przepłyną. Ty tylko uczysz nieposzanowania dla starszych! Ciebie powinni ze szczepu wyrzucić!

Ale ów człowiek ciągnął dalej ze spokojem:

— Ty kłamca jesteś, Sitti Jusuf, i na szkodę Fellachów działasz. Bo oto Fellachowie zaczęli sami kopać, cegiełki znajdować i dla lepszego zarobku tłuc na cztery części a Frankom za gotowe pieniądze sprzedawać. Powiedziane było: dziesięć cegiełek za beszlika! Dlaczego Fellach nie miał zrobić z tych dziesięciu cegiełek czterdziestu cegiełek? A tyś pierwszy latał po szczepach i kazał się zaprzysięgać, że nie będą roztłukiwali cegiełek. To ty na szkodę Fellachów działasz a na korzyść Franków i dlatego ty jesteś zdrajca, Sitti Jusuf!

Sitti Jusuf skoczył z miejsca i sięgnął do pasa. Natychmiast wszędzie dokoła błysnęły w rękach kindżały. Sitti Jusuf krzyczał i inni krzyczeli. Z przyległych namiotów zbiegło się dużo Fellachów a także dobywali kindżały. I już się miała krew polać.

Wtem Sitti Ibrahim, przyrodni brat Jusufa, bardzo przemyślny starzec, chwyciwszy włócznię, jął pląsać hauzę. Sitti Jakób, rodzony brat Ibrahima, począł grać na sambuku. Zaraz kilku innych poczęło także tańczyć hauzę. Aż wreszcie cały obóz zaczął tańczyć hauzę, choć ulewa grzmiała, choć nogi ślizgały się po rozmiękłej ziemi i choć wszyscy umazali się popielatem błotem a ociekali wodą.

Z najdalszych obozów wychodzili grajkowie

z instrumentami, pokrzykiwali: »Hauza, hauza!« Młodzi, starzy, dzieci, wyrostki, wszystko pląsało w dzikim tańcu, nie zważając na ulewę, na błoto.

Sitti Jakób, grając na sambuku, schylił się w stronę Sitti Jusufa i rzekł:

— Za to, żem cię wybawił, dasz mi medżidżi.

A Sitti Jusuf odparł z wielkim spokojem, patrząc przed siebie:

— Powiedziane jest: nie będziesz naciągał krewniaka twego na żadne wymuszane darowizny, ale jeżeli możesz wybawić go, to go wybaw.

Sitti Jakób, grając, rzekł:

— Gdzie to jest powiedziane?

— Przedewszystkiem jest powiedziane w gwiazdach, tylko ty byłeś próżniak i nie słuchałeś tego, co mówił błogosławiony twój ojciec nie żyjący, który mnie nauczył a ciebie nauczyć nie mógł. Ale żebyś nie sądził, iż nie umiem być wspaniałomyślnym, dam ci trzy beszliki. Frankowie powiedzieli: Sitti Jusuf, oto tu są trzy beszliki dla Sitti Jakóba, żeby był chętny. Daję ci tedy owe trzy beszliki. Masz.

Sitti Jusuf przestał grać na chwilę przelotną, schował beszliki a grając dalej, tak mówił:

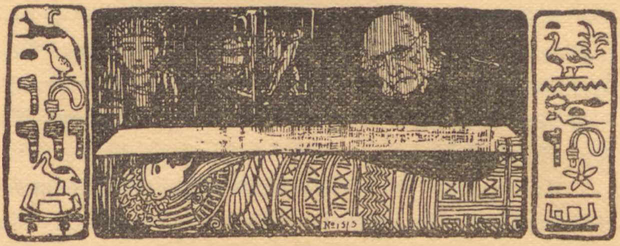
— Jabym przysiągł, Sitti Jusuf, że oni ci dali dla mnie sześć beszlików.

A Sitti Jusuf odparł z ogromną powagą, patrząc wciąż przed siebie:

— Słusznie a sprawiedliwie przysiągłbyś, Sitti

Jakób. Tylko Frankowie tak powiedzieli: te drugie trzy beszliki dasz mu, Sitti Jusuf, po pewnym czasie, aby się nie zepsuł. Ale ja ci je dam, skoro tylko Fellachowie padną ze zmęczenia po tym wściekłym tańcu a także dostanie swoje beszliki Sitti Ibrahim.

Jakób popatrzył iskrzącem okiem na Sitti Jusufa, następnie zaczął grać z taką fantazją, że hauza szalała a wszyscy zapomnieli o potopie, o Frankach i o wszelkich intrygach, jakie knuł Sitti Jusuf.



MUMJA KRÓLA TABINITA.

Do ogromnej sali czterech ludzi wniosło mumję fenickiego króla Tabinita i ułożyło w szklanej trumnie, zakleiwszy wieko paskami z czarnego płótna. Człowiek piąty nalepił kartkę z numerem, wpisał przedmiot do katalogu a następnie wszyscy wyszli, zamykając za sobą drzwi na klucze i rygle.

W sali nastała cisza.

Przez okna wlewały się mętne potoki światła księżycowego, barwiąc kredową bladością wszystkie płaszczyzny, na które padało.

Wtedy nieśmiertelna dusza Tabinita wstąpiła napowrót w mumję i stało się, że król otworzył oczy.

Najpierw postrzegł, że jest rozwinięty z wszelkich prześcieradeł, co go niezmiernie zadziwiło.

Następnie spostrzegł, że ma ramiona i lędźwie wyschłe jak drzazgi cedrowego drzewa. To go przeraziło.

Wreszcie spostrzegł, że nie znajduje się w bazaltowym sarkofagu, z którego kazał wyrzucić Peneftaha a dla siebie przeznaczyć, ale w pudle przejrzystem i co do rozmiarów bardzo skromnem. To go oburzyło.

Zaraz tedy jął szukać obok siebie kosztowności i naturalnie nie znalazł. Przyszło mu wtedy do głowy, iż niezawodnie Aatmes, syn Peneftaha, kazał z kolei jego wyrzucić z sarkofagu i albo ojca w nim napowrót ułożył, albo sam w nim legł. Przy tej sposobności niezawodnie zrabował klejnoty i zwłoki jego, Tabinita, zbezcześcił, rozwijając je z prześcieradeł. Wtedy ogarnął go niesłychany gniew.

Ale jakże się zdziwił, gdy przez szklane pudło, w którem leżał, dostrzegł w pobliżu niedużą skrzynkę, również szklaną, a w niej wszystkie klejnoty, z którymi był pochowany. Policzył uważnie. Nie brakowało ani jednego.

Gdy wodził dalej okiem, dojrzał dwa bronzowe świeczniki, które strzegły jego sarkofagu w nekropolu sydońskim. Świeczniki te był zrabował w mieście Berot. Były całe i nienaruszone, tylko ogromnie poczerniały. Doszedł tedy do wniosku, że nie został okradziony, tylko że zaszły zmiany innego charakteru.

W każdym razie mumja jego jest zbezczeszczona, skoro została wyjęta z bazaltowego sarkofagu i rozwinięta z prześcieradeł.

Rozglądał się tedy dalej, aby się przekonać, jakie jeszcze zmiany zaszły dokoła niego.

Za świecznikami postrzegł sarkofag ukochanej małżonki swojej. To go znacznie uspokoiło. Ogarnęło go uczucie rzewności. Ale nagle nowa fala strachu przebiegła go od stóp do głów.

A może i jej mumja została wyjęta z sarkofagu a leży gdzie obok w pudle przejrzystem?

Wodził okiem dalej, ale nie spostrzegł czegoś podobnego.

Patrząc jednak dokoła, obaczył swój własny sarkofag z pokrywą odchyloną i podpartą czterema kamiennemi podstawkami sześciennemi.

Teraz już zupełnie zrozumieć nie mógł układu rzeczy. Więc uniósł zczerniałe ramiona i próbował, czy pokrywa nie da się odłączyć od pudła.

Listwa klejowa płótna czarnego poczęła trzaskać i odpadać. Tabinit nacisnął silniej. Wtedy pokrywa oderwała się całkiem i zsunęła na bok.

Tabinit siadł i rozejrzał się dokoła.

Oczom jego przedstawił się widok niezwykły.

Sala była ogromna, przepełniona najróżnorodniejszymi przedmiotami, które zwykle budziły jego chciwość. A więc ujrzał wielki zbiór monety złotej, srebrnej i miedzianej a także pierścienie wielce rzadkie, zausznice, naszyjniki, łańcuchy nabijane cennymi kamieniami, wężownice, istny skarbiec bardzo w oko wpadających kosztowności.

Uniósł tedy osłabioną rękę i chciał sięgnąć

w stronę tych przedmiotów, ale było za daleko. Więc wsparł się oburącz o ściany pudła, wstał, wyprostował się i odpoczął.

Następnie chwiejnym krokiem podszedł do stołów.

Ale zaledwie minął pokrywę pudła, w którem leżał, natknął się na cały szereg podobnych pudeł, w których były złożone mumje, nie rozwinięte jednak z prześcieradeł i mające na twarzy portrety swoje. Obok stały sarkofagi a wszystkie wieka były podniesione na wysokość stopy i podparte, jakgdyby się wietrzyły.

Tabinit zajrzał do pierwszego sarkofagu. Był pusty. Zajrzał do sarkofagu drugiego. I ten był zupełnie pusty.

Wtedy ruszył do swego własnego sarkofagu. Przekonał się, że i on był także całkiem pusty.

Odetchnął. Więc Peneftah w nim nie leży. I Aatmes w nim także nie leży. Więc może Aatmes wcale tu nie był!

To go w połowie pogodziło z bądź co bądź całkiem niezrozumiałym losem.

Z kolei zbliżył się do sarkofagu ukochanej małżonki swojej. Ujrzał z przerażeniem, że i ten sarkofag jest zupełnie pusty.

Przestraszył się. Ale natychmiast wpadł na domysł, że małżonka musi niezawodnie leżeć gdzieś obok w takiem samem pudle przejrzystem, jak leżał on i jak leżą inne mumje.

Obszedł tedy sarkofag dokoła, ale mumji małżonki swej nie znalazł.

Ponownie się przestraszył.

Po chwili ruszył i począł pilnie patrzeć w lewo i w prawo, a także dalej.

Mętne światło księżyca bieliło powierzchnie przedmiotów, między którymi i za którymi gęste panowały ciemnie. Szedł opierając się o sarkofagi i stoły, ale daremnie się rozglądał. Nigdzie nie mógł dojrzeć ukochanej mumji.

Zawrócił tedy do własnego sarkofagu i usiadł na nim, albowiem bardzo się zmęczył.

Począł zbierać wystraszone myśli. Wtedy mimowolnie spojrzał na ryty w bazalcie napis i wyczytał:

— Tu spoczywa mumja Tabinita, króla sydońskiego, wielce potężnego, który strachem nabawiał swoje sąsiady a dla poddanych był dobry i wyrozumiały. Bogom Fenicji składał hojne ofiary. Nikogo w życiu swojem nie skrzywdził. Ty, który napis ten czytać będziesz, wiedz, że gdybyś zuchwałą ręką chciał sarkofag ten otworzyć a zrabować, gniew wszystkich bogów Fenicji skusisz na swoją głowę nieszczęsną. Będziesz toczony trądem i umrzesz przez wszystkich opuszczony. A także zawiedziesz się srogo, bo w sarkofagu żadnych nie znajdziesz skarbów, ni kosztownych ozdób.

Tabinit, odczytawszy ten napis, uniósł oczy nieco wyżej, gdzie przestrzeń na bazalcie była wy-

szczerbiona i nierówno wygładzona. Widniał tam napis poprzedni, podobnej treści, tylko zamiast imienia Tabinit, było wyryte imię Peneftah pismem demotycznem. Skarby także się znalazły a Tabinita trąd nie stoczył. Tabinit kazał to pismo zatrzeć a pod spodem wspomnienie o sobie wyryć. Pismo było fenickie i głosić miało o Tabinicie a o Peneftahu wszelka pamięć miała być zatarta.

Tabinit podniósł oczy jeszcze wyżej, gdzie były wyryte ozdoby a więc ptaszki rozmaite, węże, grzebienie. Mniemał zawsze, że są to zwyczajne firlimuszki, gdyż był wielkim nieukiem i mimo nawoływań kapłanów nie zasiadał do misy wiedzy i do dzbana wiadomości, jakie przed nim stawiano. Ale teraz spostrzegł nagle, mając już nieśmiertelne widzenie rzeczy, że i to jest pismo, że głosi o Peneftahu, że powiada słowo w słowo to samo, co było wyrażone pismem demotycznem a co tak pilnie kazał zatrzeć. Wspominano mu istotnie o jakichś hieroglifach ziemi Mucur. Teraz je widzi. Więc to są hieroglify! Więc te przeklęte ptaszki wyśpiewały całą tajemnicę złodziejstwa...

W pierwszej chwili uległ napadowi zmieszania, albowiem uczucia wstydu nie znał zupełnie.

Jakże był nieopatrzny!

A ci kapłani! Że też go nie ostrzegli! Oni na pewno wiedzieli, co śpiewają te ptaszki i co syczą te wężyki.

Teraz czuł w całej pełni, czemu nigdy za ży-

cia nie chciał dawać wiary, że ci kapłani postępowali z nim bardzo obłudnie. Ileż to procesji uroczystych odprawiali niezawodnie do jego sarkofagu a za każdym razem, gdy oczy ich padły na te ptaszki i wężyki, uśmiechali się zapewnie z głupoty i nieokrzesania nieboszczyka...

Tabinit uczuł taki niesmak i taki wstręt do własnego sarkofagu, w którym przeleżał dwa i pół tysiąca lat, że wstał i podpierając się o różne przedmioty, ruszył naprzód.

Ale jakże się zdziwił, gdy ujrzał przy ścianie otoczonego bazaltowymi lwami króla Hetejskiego, który na tronie kamiennym siedział nieruchomo i prosto przed siebie patrzył.

Wiedział, że król ten oddawna nie żyje i że państwo jego złupił potężny Salmanassar.

Podszedł tedy bliżej i chciał go zapytać, jakim sposobem przeniósł się tutaj ze swoim tronem bazaltowym i bazaltowymi lwami. Ale monarcha Hetejski nie ruszył się na jego powitanie, albowiem cały był z takiego kamienia, na jakim siedział trzy i pół tysiąca lat.

Tedy Tabinit ruszył dalej. Ale niebawem dotarł do drzwi, które były zamknięte. Klasnął tedy w ręce raz i drugi. Ale zauważył ze zdziwieniem, że całkiem stracił czucie w dłoniach i że mu przy wtórem klaśnięciu ukruszyły się dwa palce. Podniósł je tedy i szedł dalej.

Naprzeciwko ujrzał znowu drzwi. Ale i one

były zamknięte. Nie klasnął już w dłonie, tylko zwrócił się do sal bocznych.

Na wstępie ujrzał pyszny sarkofag z kamienia białego, na którego bocznych ścianach były wyrażone rylcem figury Persów i Macedończyków. Figury te, zabarwione błękitem i farbą jutrzenkową, wyobrażały jakąś bitwę. Tabinit w żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć, jakaby to bitwa być mogła, choć wszystkie umiał kiedyś wyliczać na palcach, a także powiedzieć, kto je wygrał, kto przegrał, ilu padło żołnierzy, ilu wzięto do niewoli, bo się tem wszystkiem bardzo żywo zajmował.

Zajrzał do onego sarkofagu. Ale był pusty jak wszystkie.

W ciągu tego stosunkowo krótkiego czasu widział tyle rzeczy nadzwyczajnych, że go już to wcale nie zdziwiło, ale przeciwnie, zwykłem mu się wydało. Ruszył tedy do sal następnych.

Tam spostrzegł wiele przedmiotów, których użytku zupełnie nie umiał sobie wytłomaczyć. A przytem spotykał na każdym kroku dziwotwory rylca, które poczucie dostojności fenickiej w żywy sposób obrażały.

A więc spotkał głowice kolumn, mające w narożnikach oblicza ludzkie. Wąsy i brody zamieniały się w winne liście. Tabinit bardzo się oburzył. Potem napotkał mównice w kształcie ciał kobiecych z wypukłemi piersiami. Tabinit także się oburzył, ale bardzo się im uważnie przypatrywał. Potem

napotkał cały zbiór ulepionych z gliny skórek twarzy ludzkich, paskudnie powykrzywianych. Tabinit z wielkim niesmakiem minął je.

Dopiero uczyniło mu się nieco lżej w sali, gdzie napotkał rozłożone w licznych sztukach złoto trojańskie. Tego złota swego czasu dużo posiadał, choć było starte i przyjmowano je wyłącznie na wagę.

Tu żądza jego została wogóle silnie podbudzona. Znalazł bowiem istny skarbiec przeróżnych klejnotów.

Pomyślał, czy nie dałoby się ich zagarnąć. Ale gdy popatrzył po sobie, postrzegł, iż nie ma na sobie szat a przeto brak mu wszelkich schowek.

Lecz na policy stała szkatuła, wykładana wspaniale perłową masą. Umyślił tedy w tę szkatułę zebrać klejnoty.

W chwili jednak, kiedy po oną szkatułę rękę wyciągnął, postrzegł bronzowy posążek Apisa. Nie oddawał mu wprawdzie czci, ale liczył się z jego wpływami. Bronzowy wół patrzył wprost na niego. Tabinit zszedł mu tedy z oczu, co dało się wykonać tem łatwiej, że stoły z klejnotami ciągnęły się dalej, tam nawet, gdzie wzrok Apisa nie sięgał.

Tymczasem spojrzenie jego padło przypadkowo na ścianę, gdzie była rozwieszona broń wszelakiego rodzaju. Zachwyciły go niektóre miecze, łuki i groty a zwłaszcza siekiery.

Już miał po nie sięgnąć, gdy poczuł na sobie

rubinowe oczy rzymskiego Jowisza. Ponieważ czuł wogóle wielki szacunek dla wszystkich obcych bogów, więc i tym razem zapanował szlachetnie nad swoją żądzą i ruszył dalej.

Zaraz jednak na skręcie postrzegł znowu drzwi. Te były także zamknięte. Przekonał się tedy, że jest w jakimś dziwnym pałacu, czy skarbcu, ze wszystkich stron szczelnie pozamykanym, w którego salach nagromadzono nietylko najróżnorodniejsze przedmioty, ale także sarkofagi i złożonych w nich, często bogom równych, nieboszczyków.

Tedy pytał duszy swojej nieśmiertelnej, kto to mógł był uczynić i w jakim celu? Tyle grobowców świętych otworzyć? Tyle nekropolów złupić? Tyle mumji królewskich zbezcześcić? Kto jest tak władny i tak bezbożny?

Ale niedość na tem, że królów powywlekał z sarkofagów i ograbił, że nekropole wszystkich ludów pootwierał i zabrał, co w nich było zapieczętowane najstraszniejszemi zaklęciami. Bogów nawet zrabował i tu ustawił!

Ziemia i niebo nie ostały się przed tym potwornie potężnym, nieulękłym a żadnych względów dla przeszłości nie mającym władcą?

Czyżby Aatmes, syn Peneftaha, sąsiad nieludzki, który na wszystko zawsze gotów się był targnąć i nic za święte a nietykalne nie uważał, tak wzrósł w potęgę?

Ale nie! Aatmes byłby mumję jego spalił i tej

największej krzywdy mu nie oszczędził, a dusza jego nieśmiertelna już nigdy nie mogłaby trafić do swej mumji! Tabinit umarłby na wieki a dusza jego stałaby się duszą błędną...

Więc nie Aatmes. Któż tedy? Potomkowie faraonów egipskich? Nie! Mogliby najwyżej zapuścić się do Fenicji, no, ostatecznie do Assyryi! Ale tu były zabrane bogactwa wszystkich ludów i wszystkich władców!

A przytem — gdzie zwłoki jego ukochanej małżonki? Gdzie jej mumja? Może spalona?

I tu pomimo wszystkich wątpliwości znowu przyszedł mu na myśl Aatmes, albowiem on chciał był uwieść jego małżonkę a ona mu się oparła. Przeto rzekł jej wtedy: pomszczę się okrutnie na tobie i na twoim Tabinicie!

Aatmes był światły i znał się na treści hieroglifów. Jeżeli tedy przeczytał ów napis?

Jeżeli mu owe ptaszki wszystko wyśpiewały a owe węże wszystko wysykały, jakże srogą będzie jego pomsta!

Tak, to Aatmes na pewno uczynił, sprzymierzywszy się z sąsiadami, do czego miał zawsze dużo talentu mawiając, iż ustanowi w całej Azji zbrojny pokój!

Aatmes na pewno spalił mumję jego małżonki a z jego mumją uczyni to samo w czasie jakiej nowej uroczystości.

Tabinit zachwiał się.

A właśnie w oknach barwa mętna stawała się coraz bardziej świetlistą i ćwierkały na zewnątrz ranne ptaszki.

Tabinit ruszył w stronę sali, gdzie stało jego pudło przejrzyste. Teraz posłyszał jakiś łoskot u drzwi przeciwległych i spuszczanie rygli.

Ogarnął go lęk. Podpierając się o napotkane przedmioty kroczył z wielkim wysiłkiem dalej a dalej. Oślepiająca jasność zalewała gmach ze wszystkich stron.

Myśl Tabinita staje się zmąconą. Czuje, że nieśmiertelna dusza opuści za chwilę jego ciało. Pasuje się ze sobą. Już słyszy zgrzyt kluczy i stąpania.

Potomku Peneftaha! Jeżeli to ty, jeżeli teraz powleczesz mumję Tabinita na stos, jeżeli chcesz mu wyrządzić tę zaprawdę najsroższą krzywdę, to niechaj Beel rzuci na ciebie wszystkie choroby, niechaj ciało żywemi kawałami odpada od twoich kości, niechaj wszystkie boleści jako głodne sępy rzucą się na twój kadłub, ty, złodzieju nekropolów, obdzieraczu trupów, łupieżniku królów i bogów!...

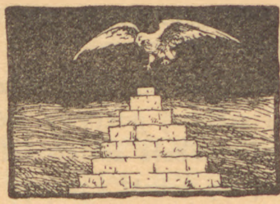
W tej chwili Tabinit potknął się o przejrzyste pudło. Zdjęty okropnem przerażeniem ułożył się i nakrył szybko pudło wiekiem.

I znowu nieśmiertelna dusza opuściła jego mumję, oczy mu się zamknęły, a usta, naprzód w ciup wysunięte, stały się małe jak okrągły pieniążek płacony za umarłych. Wyschłe na drzazgi cedrowe

ramiona i lędźwie wyciągnęły się i Tabinit legł snem muzealnym.

Nad nim pochyliło się kilku ludzi a jeden, dotykając palcami szklanej pokrywy, mówił gniewnie:

— Co to za niedbałe zaklejanie! Toż w ciągu miesiąca wdadzą się robaki i mumja wartości kilku tysięcy franków, w proch się rozsypie!



CHAWAGA.

Z leniwym prądem Nilu dąży łódka w stronę Kairu. Trójkątny żagiel jest lekko wydęty. Dokoła przesuwają się palmy, sykomory, ruiny, piramidy. Niekiedy widać sunące wielbłądy a na ich garbach siedzących z podwiniętem kolanem Arabów. Szaty ich białe a z pod zawojów wyzierają twarze czarne od słońca.

Wioślarze siedli do wioseł, aby bieg łodzi przyspieszyć. A w takt uderzeń śpiewają monotonnie przyśpiewkę:

— Salam an nebi Alla hella!

Na przedzie łodzi siedzi Chawaga, zapatrzony w wody, które stają się kredowe, albowiem słońce już znacznie pochyliło się w stronę piramid Gizeh.

I góry stają się kredowe i gaje palmowe przybierają barwę mleczną. Chawaga przechylił się na brzeg łodzi i popadł w zadumę.

Ma na sobie biały i bardzo cienki płaszcz

z wełny, robiony w Tunisie. Pod płaszczem widać biały kołnierz, szeroko odwinięty. Na głowie czarny kapelusz z wielkiemi skrzydłami.

Twarz ściągła, znacznie jaśniejsza od twarzy Arabów, choć nieco śniada. Rysy niezmiernie wyraziste a czarne oczy »ze łzą i wielką błyskawicą«. Bujny kruczy włos okala skronie.

Widać, że ogarnia go coraz większe wzruszenie; bo też cała przestrzeń jest jak gdyby usłana liljami.

Dobył szybko notatnik, otworzył, wyjął ołówek, poślinił i jął nerwowo pisać na zielonkawym papierze te słowa:

»Nie szumi liść, nie szumi gaj,
»Jakie niebo, jaki kraj!
»Z cegieł stoją wielkie góry
»A na cegłach leżą chmury.

»I jam cierpiał i jam żył,
»Jam w letejskich wodach pił,
»Dziś w Nilowe fale mętne
»Patrzą moje oczy smętne...

»Patrzę smutny, patrzę w dół,
»Czy kto moje serce struł,
»Że śpi teraz jak łabędzie,
»Że mu wszystko jedno będzie...«

Ale znać nie będzie mu wszystko jedno, choć ktoś mu serce struł, gdyż nagle upuścił na dno

łódki ołówek i notatnik a ukrył śniade oblicze w obu rękach.

I oto zdało mu się, że te wody liljowe zmieniają barwę swoją i stają się wodami Ikwy, że te piramidy rozpadają się w przedmieście dobrze mu znane, że oto tam dom i ogród, że przy oknie stoi razem z młodą dziewczyną. Nic nie mówią, tylko spoglądają na ulicę. On miał żadnego wzruszenia na twarzy nie okazać. Ale rozległ się turkot i oto powóz zajechał.

Tedy zaczęto się żegnać a oni zamienili ze sobą kilka słów obojętnych. Przecież chciała mu wmówić, że się zobaczą.

Pocałował lekko w rękę i powiedział: Nie zobaczymy się nigdy może...

Czuł jednak, że zachwiał się na nogach.

Wkrótce odzyskał zmysły, rozsądek, dumę i nie podał jej nawet ręki, gdy wsiadała do powozu.

Konie ruszyły, wyszedł na ulicę i patrzył za odjeżdżającym powozem.

Poszedł... swoją drogą... z tym ostatnim płomykiem nadziei, który językiem swego chwiejnego blasku mówi: »Ona teraz musi nucić, teraz na księżyc oczy ma otwarte...«

Poszedł i zdawało mu się, że ma na czole piętno Kaima. Tylko nie każdy Kaim zabija brata, choć równie jak on czuje na sobie ciążące przekleństwo. Nie, tylko jakaś siostra zatruła mu serce.

I oto z tego serca »sączy się gorycz mowy«.

Przeto nigdzie przyjaźni, nigdzie bratniej ręki, nigdzie zrozumienia, choć czuje, że mógłby przemawiać do miljonów i wieszczy ogień w oczach ich zapalać...

Ucieka. Uciekł przez Modny Babilon krzykaczy, entuzjastów i proroków. Przedzierał się przez śnieżne szczyty Alp, płynął przez jeziora italskie i we freskach florenckich szukać chciał zapomnienia. Jeszcze ma w uszach dźwięki wszystkich dzwonów bazyliki Piotrowej i widzi białą rękę chylącą się z loży i błogosławiącą: »Urbi et orbi!«

Tylko na jego głowę nie padł ani jeden promyczek tego błogosławieństwa. Daremnie Neapol jak kolorowa bańka z mydła, wypuszczona przez jakiegoś morskiego trytona, wabił jego oczy. Nie zmył tego żaru, który się pali. W błękitach morskich topi spojrzenie a stado żórawi, lecące nad przestrzeniami wodnemi w stronę północy, zbudziło w nim wszystkie żale, wszystkie wspomnienia, wszystkie gorycze, aż tu się zabłąkał do puszczy libijskiej, uciekał Nilem przez Egipt, aż do Nubji, już uleczony, już ze słowami: »Że mu wszystko jedno będzie!«. A przecież wypadł z ręki ołówek, który te słowa pisał i papier zielonkawy, na którym słowa te już były napisane.

Czemu przypadł mu w udziale taki los? Gdy inni przywykają do życia, ono jest mu jako brzemię, które obnosi po wszystkich krajach i morzach. Ach, jedno pozostało, imaginacja! Ona zapala mu

widziadła. Toteż ta imaginacja jest całem jego bogactwem, które w testamencie zapisze jakimś miljonom, do których nigdy nie mógł dotrzeć, które były dla niego milczącą paszczą sfinksa, wszystko chłonącą w przerażającem milczeniu.

Przejechał przez kraje Europy a zebrał z nich na paletę duszy swojej wszystkie kształty. Przejechał przez Alpy, półwysep italski, przez modre przestwory Morza Śródziemnego a zebrał na tę paletę swej duszy wszystkie barwy, wszystkie promienie słońca. Przejechał przez Grecję i mógł powiedzieć sobie: »Wierzę, że jeszcze żyje dziś Kanaris, bo właśnie teraz wracam z jego progu!« Szedł przez lądy, przez morza, przez cmentarze cywilizacji i przez cywilizacji świeżo zakwitające ogrody, każdy kwiat uszczknął, on, wielki zdobywca, wszystko czyniąc niezaprzeczoną własnością duszy swojej, którą potem miał zapisać w testamencie... milczącemu sfinksowi.

Tak, czuje swą siłę, polot, nieśmiertelność. Ale sam czem jest? Czemu jak Kaim ucieka? Czemu zatruto mu serce. »Żyłem przecie, cierpiałem i płakałem z wami!« Czemu, gdy płaszcz na jego duchu nie wyżebrany, ucieka i woła za pozostałymi: Zjadacze chleba?

Jednak wspomnienia otaczają go kłębami oparu, który dusi, ale przecie niekiedy upaja. Musi, półsenny, pomarzyć o niedawnej młodości. Tu, na liljowym Nilu, poczuł nagle zapach warkoczy kochanki.

I jak gdyby wszystkie tragedje były przemazane, wszystkie klątwy cofnięte, żyje znowu dawną nadzieją. Łabędzia mara z ognia i złota płynie ku niemu z rozpiętym żaglem marzenia i oto musi znowu w głębi duszy powiedzieć sobie: »Przebiegłem świat, kochając jedną...«

Zapłakał.

W tej chwili ustał monotonny śpiew Arabów i skrzyp suchy wioseł. Ciemna twarz nachyliła się nad nim i rzekła łagodnie:

— Chawaga...

Otarł pospiesznie łzy. Arab podawał mu upuszczony ołówek i notatnik, głaskał go po ramieniu i mówił:

— Chud, chawaga! Allah jehannik!

. . . .

Dobili do brzegu.

Siedli na rącze osiołki i ruszyli żwawego rachwana.

Mijali las palmowy o fantastycznych pióropuszach liści. Z za każdego drzewa wychylała się bajka wschodnia i szeptała swoje tajemnicze wyrazy.

Niebawem pnie się rozstąpiły i oto ukazała się trójkątna, błękitnawa mara.

Była to piramida Cheopsa.

Rosła z każdą chwilą a niebawem przysłoniła całe niebo.

Zsiedli z osiołków. Stąpali po drobniuchnym piasku, sypkim, nawianym z pustyni.

Chawaga odrzucił biały swój płaszcz i prosto ruszył na głazy piramidy, które wielkością swoją sięgały mu niemal do ramion.

Przyskoczyło do niego dwóch Beduinów. Każdy na wyższy kamień wskakiwał, przysiadywał i podawał mu ręce.

On przy ich pomocy piął się szybko, wyżej i wyżej, przystając niekiedy dla zaczerpnięcia tchu.

Pot perlił mu się na czole. Spojrzał za siebie. Gdzieś nisko pozostawały żale, gorycze. Ogarnęła go nawet wesołość.

Było mu rzeźko. Chwytał szybko oddech. Na śniadą twarz wystąpiły ciemne rumieńce.

Już jest w połowie góry przez ludzi ułożonej. Znowu spogląda za siebie. I znowu jakiś ciężar bolesnych wspomnień spadł mu z serca i potoczył się gdzieś ku niskiej ziemi.

A teraz rusza dalej. Beduini znowu wyskakują na wyższe kamienie, przysiadają, podają mu ręce.

Niosą go niemal. Niby dwa olbrzymie ptaki z skrzydłami białych zasłon lecą ku górze a on tylko trzyma się za ich szpony i płynie pod firmament.

Już jest prawie u samego szczytu. Jeden, dwa, trzy, cztery gigantyczne schody. Ale spoczywa chwilę, gdyż u góry chłodniejszy wieje wiatr a cały zlany jest potem.

Puszcza ręce Arabów. Serce bije mu gwałtownie. Tedy oparł się o ścianę i czekał, aż oddech stał się spokojniejszy i bicie serca równiejsze.

Uczuł ściskanie serca, duszność, szum napełnił mu uszy. Zachwiał się. I oto nagle myśl jego zatoczyła wielkie koło po niebie w kierunku północy i opadła daleko, daleko...

Był jakby złamany a zarazem ogromnie szczęśliwy. Nagle stał się też jakimś innym człowiekiem. Już nie jest tym Kaimem z zatrutem sercem, już nie jest człowiekiem, który tylko ciągle ucieka, aby widziadłami świata zapełnić tę straszną pustkę, którą miał w duszy. I nie chce już mieć dla ludzi zawsze »twarz jednakową«. Czuł, że mu wszyscy stają się braćmi. Że jest członkiem jakiejś wielkiej rodziny, której na imię ludzkość. Tylko w tej rodzinie ma kółko jeszcze bliższe, wyjątkowo kochane, wyjątkowo czułe, wyjątkowo nieszczęśliwe.

W oddaleniu płomienna głowa słońca gorzała na krawędzi świata i wielkiem okiem swojem patrzyła na ten etap drogi jego życia i na ten etap jego przemian.

Siadł, ukrył twarz w dłoniach, równał oddech skłócony, czekał wolniejszego bicia serca. A przed zamkniętemi jego oczami przelatywały błyskawiczne obrazy, wojska, bitwy, sejmy, narady, zebrania z mówcami natchnionymi. Już nie był człowiekiem prywatnym. Czuł w sobie siłę męża publicznego. Wszystkie osobiste żale i strapienia topniały jak

lodowe stalaktyty, odpadając w dół. Spokój też nadzwyczajny ogarnął go. Jak to długo trwało, nie wiedział. Gdy odjął ręce od twarzy, już głowa gorejąca słońca była głęboko za krawędzią puszczy libijskiej i tylko słabo był widny rozpostarty na niebie wachlarz jej różowych odblasków.

Z ciemnego szafiru niebios wyłuskiwały się mirjady gwiazd i noc przepasała się Mleczną Drogą.

. . . .

Nagle Beduini poczęli w dół poglądać i dawać znaki rękami.

Głęboko w dole, niby mak rozsypany, widniała gromadka ludzi i paliły się dwie pochodnie, podobne do dwóch rozżarzonych łebków szpilkowych.

— Co się tam dzieje? — zapytał.

— List do chawagi.

— List? Skąd?

— Z Kairu. Pewnie poczta.

Owe dwa czerwone punkciki poczęły spinać się po narożniku piramidy. Niebawem niby dwa robaczki świętojańskie, lecąc wyżej i wyżej, to się zbiegały, to rozbiegały.

Rosły w oczach. Już są jako dwie czerwone latarki. I znowu: to się zbiegają, to rozbiegają.

Teraz słychać już głosy. Słychać wesołe śmiechy dzieci pustyni. Wiedzą, że nie ominie ich suty podarek. Więc wołają we wszystkich językach pielgrzymów kraj piramid nawiedzających:

— All rojt! List do chawagi!

— Msieu, list!

I oto już wbiegli na szczyt, pracując piersiami. Dwie pochodnie, kapiąc palącą się smołą, oświecają ich czerwonym blaskiem.

Jeden wyciąga rękę z pocztą a drugi woła:

— List, list z kraju chawagi!

Pielgrzym drgnął.

Ruchem powolnym wziął do ręki list i najpierw uważnie przypatrywał się pismu. Poznał je. List był od przyjaciela.

Rozdarł kopertę i zaczął czytać.

»Kochany Julku...«

I szły wiadomości o zdrowiu, o powodzeniu, o zbiorach, o sąsiadach. Tak, wszyscy są bardzo zdrowi, wszystkim się bardzo dobrze powodzi. Pielgrzym czytał zrazu z bijącem sercem, ale potem coraz spokojniej, nawet bez uczucia. Dopiero, gdy doszedł do wiadomości o matce, zawołał na Beduinów:

— Świecić uważniej!

I czytał o jej zdrowiu, o jej tęsknocie za synem, o mszach, które zamówiła na jego intencję.

Tak, zdrowa jest, kochana, dobra, stęskniona matka, która nic dla siebie nie chciała a wszystko dla niego, która w nim widziała marzenia swoje, która miała jedną dumę: wychować światu... poetę...

Znowu się rozrzewnił.

Ale ustęp o matce już się skończył i dalej

szły wiadomości suche o stanie majątkowym, że nie jest ani źle, ani dobrze, że może być zupełnie spokojnym.

A, jeszcze dopisek!

Dopisek skreślony jest w poprzek na marginesie. Odwrócił list i nagle począł mrugać, zbladł, jeszcze bliżej przysunął pismo do pochodni, aż wreszcie wyczytał myślą umierającą:

»Twoja Ludka wyszła za Czajkowskiego...«

I zdało mu się, że wraz z olbrzymią piramidą leci w otchłań światów.

. . . .

Modra noc egipska świeci wszystkiemi swemi gwiazdami.

Nikt nie ujdzie przed losem, jaki mu jest tam w gwiazdach pisany. Próżno z serca wyciągnie strzałę zatrutą, próżno z umysłu wypłoszy wszystkie myśli dla nowych widziadeł.

Próżno będzie się gubił w pustyniach i patrzył, że wiatr zasypuje za nim ślady. Los cichymi, cierpliwymi kroki podąży za nim.

Chawaga, blady jak skała kredowa, na której stoi, patrzy na Sfinksa, który w tej chwili rozmawia spojrzeniami z wschodzącym księżycem.

Za Sfinksem przez pół w piaskach zagrzebanym wznoszą się rzędem piramidy.

Dziwnie tajemniczo dokoła. Zda się, że cały świat jest jednym wielkim znakiem kabalistycznym losu.

Bo oto tam wznoszą się trójkąty olbrzymich gór, ludzką ręką przed czterdziestu wiekami ułożonych.

A tam wyżej, po niebie, tworzą się z gwiazd nowe trójkąty, losów znaki kabalistyczne, ułożone przed wiekami wieków przez... przez...



TREŚĆ.

ao karo